

Zwierzęta z lasu dziewiczego

Fiedler Arkady



calibre 0.9.43

Zwierzęta

z lasu dziewiczego

I

Termin zwrotu książki:

10.08. 4AJA M i OT W* 3 0 08. 2005

Karta terminów

Arkady Fiedler

Zwierzęta z lasu dziewiczego

Ilustrował STANISŁAW MROWINSKI

Nasza Księgarnia Warszawa 1976

i Wyklejkę mapę sporzŹdził | Mieczysław Kowalczyk

i

i ł ł MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA ^ Zabrze \$10J

2N KLAS.

? L7-43

2.e p.

Częć pierwsza

Moi brazylijscy przyjaciele

Odkrywamy duszŹ zwierzęćŹ

W gorŹszej puszczy nad rzekŹ Ivai, w brazylijskim stanie Parana, juŹ od wielu tygodni pracowalimy zapamiętałe, bez wytchnienia, z uporem. Jak gdyby na przekór wszelkim dowiadzczeniom Europejczyków, przebywajŹcych w tropikach, pracowalimy z niestygnŹcym zapałem, nie zwaŹajŹc na zabójcze, prostopadłe promienie słońca, na parne wyziewy lene, zatruwajŹŹce nam płuca, i lekcewaŹŹc sobie jad, wszczepiany nam do krwi przez różnego rodzaju robactwo. Co dziennie dwa razy, rano i pod wieczór, przemierzalimy w bliŹszych i dalszych wycieczkach dziwne ustronia, kipiŹŹce zielonym przepychem knieje pełne rolinnych fantazji i jak gdyby zrobione przez pijanych

magów. Polowaliśmy tam na ptaki o groteskowych nieraz kształtach, cudacznych obyczajach i upierzeniu jak w bajce.

Ptaki znosiliśmy do obozu, gdzie Antoni Winiewski, mój dzielny towarzysz, wprawna ręką preparatora cięgał z nich skórki, a potem zaprawiał je truciznami, suszył i do hermetycznych zamykał blaszanek.

Wkrótce okazało się, że nie możemy podołać pracy: zbyt obfita zdobycz darzyła nas puszcza. Więc dobralimy sobie do pomocy chwackich synów polskich kolonistów, a poza tym między mieszkańcami lenymi, na pół dzikimi kabokłami*, pozyskalimy sobie cennych towarzyszy wy-

Kabokle (caboclos port.) brazylijscy osadnicy pochodzenia portugalskiego w głębi kraju.

praw łowieckich. Tak oto dając sobie znakomicie radę z obcym lasem, zwierzem i człowiekiem, ^0 mnożyliśmy nasz dobytek, a stos zalutowanych i ^ blaszanek wzrastał coraz wyżej. I zdawało się, że ? z tej prostej drogi, do jasnego zmierzającej celu, nic

‘^t’4 nie zdoła nas zepchnąć, że tak jak rozpoczęliśmy 1 1 wyprawę z mocnym postanowieniem, zakończymy ją równie zwycięsko.

Tymczasem nie poszło tak gładko. Zastrzelenie stu ptaków brazylijskich było drobnostką. Zdobycie pięćset-nego ptaka w ósmym tygodniu było zasłużoną nagrodą za niezłomny wysiłek. Natomiast tysioczny ptak, chociaż zastrzelony z konieczności, dla celów naukowych, stał się już problemem sumienia, serca i nerwów. Co zaczynało w człowieku le funkcjonować. I równocześnie po bliższym zetknięciu się z dziewiczą puszcza stwierdziliśmy, że groteskowe linie i olniewające barwy męczą jak koszmarny sen, że bujne życie przyrody, nie znającej wytchnienia, dyszy jak gdyby w chorobliwej malignie, że cała puszcza egzotyczna jest potwornym kotłiskiem okrucieństwa. Pożera się wzajemnie bez obsłonek, bezustannie, z przerażającą pasją.

Nadeszła chwila, gdy na dnie duszy zrodziło się lekkie uczucie zwstąpienia i osamotnienia. Chciałem je zagłuszyć, lecz daremnie. W tej gorzej krainie zabrakło pokarmu dla serca, które nie miało się o co oprzeć. Rzecz prosta: zbyt długo nie zajmowaliśmy się niczym innym, iak tylko zatruwaniem naszych zbiorów arszenkiem i cy-ankiem potasu oraz układaniem ich do zimnych blaszanek; zbyt często patrzyliśmy na zwierzynę poprzez muszkę

mierciononej strzelby.

Wtedy było to w Candido de Abreu, wysuniętej wśród lasów polskiej kolonii nad rzeką Ivai - zjawił się u nas pewien brazylijski kabokło znad Rio Branco, wyglądający jak włoski zbój z romansu. Przyniósł nam na sprzedaż żywe zwierzętko. Puszyste czupiradło: z przodu wsc-ski, wydłużony nos, z tyłu dumne, włochate ogonisko. Bardzo młody ostronosek, dziwaczny stwór wielkości królika. Jak kto woli go nazwać: Nasua sociaUs czy mieszny kopciuszek. Wydrwiłem kabokła, że chciał nam sprzedać żywego zwierzęka, i owiadczyłem, że mamy co ważniejszego do roboty niż zwałać sobie na kark niepotrzebne kłopoty w czasie naszych stałych wędrówek.

i j ǾǾ niiplilivmv robić z takim

I powiedz, compadre, co mieuć\ťuiy

zwierzakiem? zapytałem go.

Kaboklo zwiesił swš zbójeckš” gębę. Był zmieszany. Czuł się jak gdyby złapany na goršcym uczynku. Dopiero po chwili odrzekł niemiało, wyranie zawstydzony:

Oswoić go... Patrzeć na niego... No, cieszyć się, jak

zre z ręki... .

Ależ nie mamy na takie głupstwa czasu! Zbieramy preparaty dla muzeum... A z takim żywym pędrakiem co

bymy robili?

Polubili go! - zawołał kaboklo przyparty do muru.

Cha, cha! Banialuki pleciesz, compadre, banialuki! szydził z niego najmłodszy mój pomocnik.

Biedny kaboklo. Wród nas, ogromnie pewnych siebie, zarozumiałych i przejętych swš misjš naukowš, czuł się równie mały i mizerny jak owo czupiradelko, które nam przyniósł. Potem jednak kupiłem małe zwierzštko, gdyż kaboklo bardzo o to prosił. Umylnie, by je sprzedać, przybył z daleka.

Ostronosek okazał się rozczulajšco miesznym stworzonkiem. Zaraz pierwszego dnia zaczął nas traktować jak starych przyjaciół, którym należy pokazać, co to jest pogoda życia. Wobec zabawnych popisów rozkosznego komika zapomnielimy o poprzednich wštpliwociach. Lody zostały przełamane. Po trzech dniach nie było wród nas nikogo, kto by nie poszedł za nim w ogień. Czwartego dnia ostronos nie dożył. Zdechł w nocy, prawdopodobnie po nieopatrzonym spożyciu mięsa ptasiego z arsenikiem.

Ostronos zrobił swoje. Odtšd zaczęliśmy zbierać również i żywe zwierzeta i zrobiła się z tego doć przyzwoita, hałaliwa gromada. Nie odrywało nas to od zwykłej pracy, przeciwnie, wprowadziło miłe urozmaicenie. A najważniejsze, że mogliśmy teraz kogo kochać i rzeczywiście kochaliśmy niewinne, pocziwe stworzenia jak dzieci. Była to miłość niesamowita wyrzšdzała bowiem straszń krzywdę, pozbawiała wolności, zadawała często śmierć. Za krzywdę dobre zwierzeta nigdy się nie mciły; po kilku dniach nieA^oli nabierały zaufania, póniej obdarzały nas szczerš, dziecięcš przyjaniš. Niosły nastroje jasne, radosne, ciepłe. Wtedy to nastšpiła owa chwila, którš nazwać by można chwilš przełomowš w tej wyprawie. Zawsze, od najwcześniejszych lat, nosiłem w swej duszy nieugaszone pragnienie rzeczywistej, bezwzględnej przyjani i wizję nieograniczo-

. i iloci. Wšrod ludzi dziwnie trudno było ziscic to nei loiatf’ , . .

Š ?, które w końcu stało się tak silne i uporczywe,

. f i iž prawie kompleksem. A oto tu, wród lenych Jjrazylijskich, odkryłem, że każdy z tych stworów,p>

, z tylko wyzbył się swei wrodzonei bojani i dzi—

skoro xa' ' -\ , ... Tp>

, , . ^eobrazał się w wymarzonego przyjaciela o nie-

<ji wiernoci. I gdy raz iego serce zostało zdobyte, wzruszol' .J . . , i . . . , . . . , . . .

, , iego nie miała rownei sobie w ludzkim wiecie, wiernoć J ° , , . J . .

, , . zastrzeżeń, niemal absolutna. Można było iei za-Była be^ ... n , , , J ,

: , , / , zamkniętymi oczyma. Frawda ta, odkryta nad Wierzyc ; . \ . ' .. , . p>

, i brzegami lvai, wzbogaciła rzetelnie moje życie.

zielonytf¹ . 5 . . ' & . J J

p , \ się mocniejszy, lepszy, szczęliwszy.

a . A, niestety, zagłśdała do nas często. Była nieod-^warzyszkš naszego zwierzyńca. Przychodziła pod

Ś postaciami i zabierała co lepszych wychowanków, różnymi , l J J

oimnam sobie piękńs sowę, schwytańs w pasie nad-

, . , Parany. Nabytek z czasów, gdy polowaliśmy pod

, , . iako gocie niezmiernie miłego rodaka, Józefa

Morrete? J . . , . , ° .

l l ywicza, jednego z najstarszych emigrantów pol-

, . ! ćnwa była iego podarkiem. Miała ogromne, cudne skich. T . . , . . , . .

T , ()rymi patrzyła na nas z bezgranicznym zdziwie-

. ” . ^ewysłowionš godnociš. Przy tym bestia pożerała . l brazylijskiego wróbla, a czasem, gdy los sprzyjał,

T/itV iei większego ptaka, zwanego bemłewi.

dawali*”” . j . . v - i j i i

n š . jta się do nas z wyrańs życzliwociš i ludzkš rękę

. , . x wielkim, poważnym dziobem. Lubilimy iš więcej pieciła . r . a ' i- p>

zwierzęta. Biedaczka nie zniosła podróży morskiej

.

. ę

a vi1 Poc^ równikiem w drodze do Europy. „Oczy” jak brzmiała sentymentalna piosenka
czarne

tó

P „ne”, jak brzmiała sentymentalna piosenka, którą

ł

j

po przyjeździe do Polski, stawały mi często w . ^mięci. Były to właśnie oczy sowy spod Morretes. Śp
tym występowały i ginęły dumne sokoliki, dziobate

Śp

I

tukany, koty lene, hirary, sówki stepowe i inne pocziwce, aż mi się serce kraje na samo
wspomnienie ponurego korowodu. Broniliśmy naszych pupilków rozpaczliwie przed nielito-ciwś
wiedmś-mierciś i dlatego coraz bardziej je kochaliśmy. Mimo trudności dwadzieścia osiem wybrańców
losu zajęło zdrowo do Polski.

Niektóre zwierzęta miały specjalne przygody. Pod Mor-letes złowiliśmy niejadowitego węża
kaninanę, wspinały, dwnmetrowy okaz. Umieściliśmy go w skrzynce z drzewa piniorowego i zawieli
na tymczasowe przechowanie do polskiego konsulatu w Kurytybie. Wilgociś przesycó:,% Morretes
leżało blisko morza, Kurytyba natomiast o prawie tysiąc metrów wyżej i miała względnie suche
powietrze. Wskutek tej różnicy klimatu wieczko skrzynki wypaczyło się i utworzyło szczelinę, z
czego oczywiście kaninana, nie w ciemną bita, skwapliwie skorzystała. Tak to klimat i drzewo
piniorowe uwolniły więźnia, a kaninana prawdopodobnie przez długie lata radowała się z życia i
pokutowała w ogrodzie polskiego konsulatu w Kurytybie.

Dziwnie kształtowały się losy zwierząt, gdy człowiek wchodził na ich drogę.

Dziwnie czasem się składało, że człowiek musiał się zbli- %yć do zwierząt, by przebrnąć łatwiej jakąś
przestrzeń swej drogi, by stać się mocniejszym, lepszym, szczęśliwszym.

Razem z żywymi papugami, jastrzębiem, małpką, węzami, hirarami i jaszczurem wywielimy z głębokich lasów nad rzeką Ivai żywego ostronosa. Zwierzę to o całkiem niewyranej fizjonomii z boku bowiem pysk jego wyglądał jak ryj wini, a z przodu jak łeb lisa miało ruchy niedwiedzia, apetyt wilczy, głos pisklęcia, a poza tym chorobliwą manię węszenia wszystkiego, co było w pobliżu. Oczy małe, nie umiejące prosto patrzeć, natomiast pełne swawoli i dowcipu. Był to samiec, a chlubił się jego była puszysta, ogromna kita, która w chwilach przygnębienia wlokła się żaloniem po ziemi, na znak dobrego humoru za podnosiła się wspaniale i tworzyła pyszny kabłok. Ow ostronos jak rzadko który zwierzę posiadał sztukę podbijania serc ludzkich.

W Kurytybie zostawiłem moje zbiory, a także żywe zwierzęta w polskim konsulacie, sam zaś wraz z Winiewskim pojechałem do Morretes celem dalszego polowania na ptactwo przymorskie. Co kilka dni wracałem do Kurytyby i stwierdzałem z zadowoleniem, że zwierzęta moje, zwłaszcza ostronos, zdobywały przyjaźń całego konsulatu.

Szczególnie zainteresował się ostronosem August Kawecki, człek, który nie z jednego pieca chleb jadał i nie z jednej kwi szimaron pijał, wielki znawca puszczy parańskiej i wszelkich jej mieszkańców. On to przywitał mnie pewnego razu radosnym wiecisz:

Nabyłem dla pana drugiego ostronosa, samiczkę! Będzie z nich dobrana para!

Jakoż w istocie była z nich dobrana para. Ostronos okazywał wobec nowej towarzyski wielką tkliwość i dawał dowody przywiśzania. Wypiękniał, można powiedzieć: wyprzystojniał, pogwizdywał wesoło, stał się urwisem.

Gdy następnym razem zjawiłem się w Kurytybie, Kawecki oznajmił mi z tryumfem:

Para będzie miała na pewno piękne potomstwo!

Była to rzeczywiście wesoła nowina. Obawialiśmy się jedynie, że pomiot może przyjść na wiat zbyt rychło, jeszcze w czasie jazdy do Polski, a wtedy podczas niewygód podróży groziła mu pewna zagłada. Z serdecznymi życzeniami parańskich przyjaciół wyjechalimy niebawem z Brazylii do kraju.

W drodze samiec stał się brutalem. Przewagę fizyczną był bowiem trochę większy wyzyskiwał w nikiemny sposób, nie dopuszczając towarzyski do miski z pokarmem. Wówczas ona opuszczała żaloniem pysk i w tej rezygnacji tyle było smutku i pokory, że patrzeliśmy rychło nie posypisz jej się łzy z pocziwych lepi. Biedaczka czekała cierpliwie, aż towarzysz napcha się i kolej przyjdzie na niś. Gdy to zobaczyła pewna właścicielka hotelu w Santos, gdzie zatrzymaliśmy się na kilka dni, rozżłociła się nagle i owiadczyła, że takimi włanie brutalami są wszyscy mężczyźni wobec kobiet.

Na statku Kerguelen” linii Chargeurs Reunis wywalczyłem dla naszych zwierząt wygodne miejsce na tylnym pokładzie, na którym zwykle schodziła się załoga w chwilach wolnych od zajęć. Tam ostronosy mogły poruszać się swobodnie, uwiśzane na długim powrozie.

W owych dniach oswoiły się jak psy, razem z nami wy—

legiwały się w porannym słońcu lub wyprawiały figle. Wtedy zauważyłem ciekawą rzecz: lepia ich stale się umiechały, i to umiechem niby filuternym, niby niewinnie złoliwym, czasem jakby szyderczym.

Załoga statku często przynosiła smakołyki, więc ostronosy darzyły już prawdziwą przyjaźń bez względu na to, czy to był przyjaciel biały, czarny lub żółty. Mniej sympatii okazywały niewiastom, które czasem przychodziły na tylny pokład dla obejrzenia naszej menażerii. Natomiast na widok psa wybuchały istnym szałem wciekłości.

Gdy mijaliśmy równik, przybiegł do mnie Winiewski. Podniecony do żywego, owiadczył, że dokonał ciekawego odkrycia: nie będzie potomstwa. Padłimy ofiarą haniebnej pomyłki, bo ostronosy to wcale nie parka, lecz dwa wesołe samczyki...

Skoczyłem na tylny pokład, chwyciłem pierwszego ostronosy, stwierdziłem: samiec. Chwyciłem drugiego to samo: samiec. Trudno opisać nasze osłupienie. Po chwili wybuchliśmy miechem tak głośnym, że pasażerowie z dalszych pokładów zaczęli na nas patrzeć z niepokojem.

Jakżeż to pocziwe ostronoski wywiodły nas w pole! miałem się z dowiudzonego Kaweckiego i z naszej przedwczesnej radoci z niedosłego potomstwa, i z naszych płonnych obaw, a przede wszystkim miałem się z tych dowcipnych filutów, co miały w oczach figlarny umiech i nie umiały prosto patrzeć.

I nie wiem, czy wylęknione naszym miechem, czy zawstydzone odkryciem ich oszustwa, dość że ostronosy po-spuszczają łby i trwały w widocznym smętku, jak gdyby czuły się naprawdę winowajcami.

W miarę oddalania się od wybrzeży Ameryki Południowej zaczęły niestety zapadać na zdrowiu, traciły humor i apetyt. Nie smakował im już chleb francuski, przecież najlepszy na wiecie, i nie jadły już codziennych porcji surowego mięsa. Oczy im gasły. Zwierzęta stały się ociężałe w ruchach i obojętne na otoczenie. Wiedziałem z dowiadczenia, że to zbliża się mierć. Mciły się na nich obce niebo i obcy pokarm.

Wśród zwierząt, jakie wielimy, znajdowała się również mała jaszczurka. Lubiłem już dlatego, że umiała z bezgranicznym zaufaniem przyłgnąć do ludzkiej ręki, nie okazując obawy. Niespodziewanie pewnego dnia, w czasie gdy ostronosy zachorowały, zdechła ku naszemu zmartwieniu.

Ponieważ ciało jej było wieże, rzuciłem je między ostronosy. I nagle zwierzęta, jak gdyby przebudzone z letargu, zerwały się jak opętane, oczy błysnęły im drapieżnie. W oka mgnieniu rozerwały jaszczurkę i pożarły już z rozkosznym

mlaskaniem. Od tego czasu stały się żywsze i znów zaczęły normalnie przyjmować pokarm. Uwiadomiłem sobie, że biedna jaszczurka, ponosząc śmierć, przywróciła życie ostronosom, gdyż w owej chwili przełomowej dała im to, czego najwięcej potrzebowały: przypomnienie rodzinnej puszczy.

W Polsce ostronosy okazały się znów wietnymi bałamutami i potrafiły zdobyć serca możliwych protektorów. Nie wypucił ich już spod troskliwej opieki kierownik Działu Przyrodniczego Muzeum Wielkopolskiego, profesor Edward Niezabitowski, a jego asystent, doktor Rakowski, całkowicie przez nie zawojowany, przynosił co dzień żarłokom jako dowód ojcowskiej serdeczności dwa wieże jajka. Jaja smakowały im wybornie, ostronosy utyli i w Poznaniu wietnie im się żyło.

Pancernik

Nasz pancernik był to oryginał nie lada, należał do gatunku zwanego przez Brazylijczyków tatu rabo mole, czyli pancernik o miękkim ogonie. Ten właśnie miękki ogon ucisnąłem przy wzajemnym poznaniu pewnej nocy majowej w lasku stepowym w pobliżu Campininhy, na wschód od gór Serra do Mar.

Owej nocy urządziliśmy polowanie na pancerniki w towarzystwie synów polskiego kolonisty Jeża, u którego przez pewien czas przebywaliśmy. Otoczeni sforą psów, poszliśmy do pobliskiego lasu. Na samym skraju psy zaczęły ujadać wciekle na znak, że co wytropiły. Był to pancernik, widocznie wałęsający się w poszukiwaniu żeru. Bracia Jeżowie pierwsi go dopadli i przyłapali za tylne nogi. Jednakże pancernik w ucieczce przed psami zdołał zakopać się w ziemię już dość głęboko. W tym położeniu miał siły olbrzymie, więc nie mogli go ruszyć i zaczęli wołać o pomoc. Doskoczyłem, namacałem w jamie ogon, dałem hasło i wówczas wspólnymi siłami powoli, powoli wydobyliśmy zwierza.

Pancernik był nasz. Nim się spostrzegł, pierwszy akt jego cichego i skromnego dotychczas żywota dobiegł końca. Chwila ta zadecydowała, że nie znany nikomu mieszkaniec lasu parańskiego wypłynął na szerokie i burzliwe wody wiata.

Drugi akt rozpoczął się następnej nocy. Przerwę za dnia wypełniła smętna zaduma naszego jeńca. Gdy noc nastąpiła,

przebudził się z odrętwienia i od razu rozwalił jak pudełko zapalek mocnš, nie do zniszczenia, zdawało się, skrzynię od nafty, w której go umieciliśmy. Ten wspaniały wyczyn ciężkiej atletyki zjednał mu nasz głęboki szacunek, lecz równocześnie wprawił nas w kłopot. Na szczęście spalimy razem z naszymi zwierzętami w szczelnie zamkniętej stodole i pancernik nie mógł uciec. Schwyciwszy go doć łatwo, jest to bowiem stworzenie potulne, zaczęliśmy się naradzać, co z nim począć. W końcu, po wypróżnieniu największej skrzyni, przeznaczonej na zbiory muzealne, wpakowaliśmy do niej dezentera.

Trzeciej nocy pancernik gwałtownie począł drapać ciany skrzyni, by się wydostać. Oczywiście nie mogliśmy spać. Na nietakt” pancernika reagowaliśmy słownie i czynnie, rzucając w stronę skrzyni nasze ciężkie buty i niewybredne wymyślenia. Był to groch o cianę, a latu rabo mole nadal terroryzował nas i nasze zwierzęta.

Wtedy stała się rzecz niezwykła. Na niesfornego pancernika oburzyła się nasza mała jaszczurka, ta sama, która później, w czasie morskiej podróży, zdechła i ostronosom przywróciła zdrowie. Odezwała się po raz pierwszy i ostatni. Był to przeciśgły, przejmujący syk, a taka biła z niego utajona wciekłość, że nawet nam, ludziom, cierpła skóra. I o dziwo, pancernik ucichł. Sšdziliśmy, że na chwilę tylko. Nie, ucichł na całoś noc. Może przelśkł się syku przebrzmiałych ech pradawnych epok, gdy po ziemi chodziły olbrzymie jaszczurzyska, zanim skarłały? Zresztś obojętne, czego przelśkł się pancernik; ucichł i pozwolił nam spać.

W Ameryce Południowej i rodkowej żyje kilka gatunków pancernika, z których najpospolitsze sš wielkoci tęgiego zajśca. W gorścych lasach dorzecza Amazonki grasuje gatunek największy i doć rzadki, dochodźcy do po-2' 19

kanej wagi jednego cetnara. Pancerniki należś do zdege-nerowanego rzędu szczerbaków i jako rasa ginśca chcś żyć z wszystkimi w zgodzie za wszelkś cenę. Nikogo nie atakujś, same natomiast chroniś się od licznych wrogów rogowatymi tarczami, pokrywajścymi ich ciało jak pancerz. W spotkaniu z silniejszym przeciwnikiem zwijajś się w kłębek, chowajśc pod pancerzem głowę i przeważnie strusia polityka odnosi dobry skutek. Za dnia sypiajś w podziemnych norach, łatwo wykopanych wyolbrzymiałymi pazurami, nocś wychodzś na źer składajśc się z rolin. Lecz gdy przytrafi im się co mięsnego, jak tłusta gšsienica lub chrzśszczyk, nie pogardźś.

Zawsze lubiłem obserwować pancerniki. Nie było zwierźst, które by tak pociśgały wyobranie i tak fascynowały. Historia bowiem ich rodu zawiera tajemnicę, u której ródła można miało powiedzieć sš niemal wszystkie wielkie tragedie rolin, zwierźst czy nawet ludzi. Paleontologowie* twierdźś, że w dawnych epokach żyły olbrzymie pancerniki w Europie i Ameryce. Lecz w którym okresie swego rozwoju popełniły kardynalny błśd: nastawiły się wyłącznie na obronę, wydoskonalajśc swe pancerne pokrycie. Ufne w jego skuteczność, zaniedbały swe zęby. Stajśc się bezbronne wobec innych, bardziej drapieżnych zwierźst, szczerbaki te z biegiem czasu wyginęły. Zoologowie twierdźś, że dzisiejsze skarłałe pancerniki sš obciśżone tym samym kompleksem wiary w pancerz, z zaniedbaniem innych zdolnoci i przeto skazane na zagładę. Poznajśc jak gdyby dokładniej życie szczerbaków, nie sposób odmówić pewnej słuszności tym przepowiedniom.

Paleontolog uczoney zajmujący się nauką o zwierzętach i roślinach minionych okresów geologicznych.

Pojmane przez nas zwierzęta tłukły się zazwyczaj przez dwa, trzy dni w klatce, zanim przyjęły pierwszy z ręki ludzkiej pokarm. Tymczasem nasz pancernik a trzeba to podkrelić na jego chwałę trwał w oporze dłużej, bo przez całych sześć dni. Tyle czasu potrzeba było, by ułaskawić jego dzielne serce. U zwierząt, tak samo jak u ludzi, pozory mylą. Postać pancernika niezgrabna i bryłowata, pysk dobroduszny, oczy małe i zaspane, czoło niskie, słowem: znamiona rozbrajającej dobroduszności zdawałyby się odpowiadać pozornie słabemu sercu i chwiejnej duszy. Tymczasem pancernik walczył wytrwale przez sześć dni o utraconą wolność i zaciekle szarpał skrzynię.

Na siódmy dzień poddałem zwierzę roztrzygającej próbie i wypuściłem go na wolność przed naszą chatą. Pancernik rozejrzał się otumanionym wzrokiem jak kto, kto znalazł się nagle w zupełnie dziwnym położeniu i podreptał spokojnie do najbliższych krzewów. Tam zginął nam z oczu na dobre, a krzewami mógł się już dostać do niedalekiej puszczy.

Ptaszek wyfrunął! zamięł się Winiewski i drwinko-wał z nieudanych zabiegów osvajania.

Lecz wieczorem posłyszeliśmy mlaskanie przed chatą. Wrócił pancernik i smacznie zajadał fizon z miski, pozostawionej tam dla niego. Pozwolił się głaskać i podnosić z ziemi.

Jadł z początku mało, lecz pod koniec biesiady apetyt jego nabrał takiego rozmachu, że obżartuch wchłaniał porcje, wprowadzając nas w zdumienie i zachwyt. Najadłszy się poszedł do swego gószczu.

Nazajutrz wyledziliśmy, że niezbyt się oddalił. Zamieszkał w jamie, którą wykopał sobie zaraz pod pierwszym

Fizon czarna fasola, narodowa potrawa brazylijska.

z brzegu krzakiem. Chciał być w pobliżu. Chciał być naszym przyjacielem. A w kilka dni później, gdy obok jego nory ustawiliśmy skrzynię, przeprowadził się do niej i sypiał w niej jak we własnym domku. W owe czasy, rzecz prosta, zaprzyjaliśmy się z nim na dobre. Przezwalimy go Tadkiem”, fonetycznym odpowiednikiem brazylijskiego tatu.

Mielimy zwierzęta dziksze i drapieżniejsze, które mimo to w niewoli załamywały się niepomrotnie szybciej niż pancernik, ale po kilku tygodniach pozornego oswojenia potrafiły podstępnie ugryść nas w łydkę. Pancernik natomiast, skoro raz się poddał i wszedł w orbitę naszego małego społeczeństwa ludzko-zwierzęcego, okazał się jego pełnym lojalności członkiem i umiał zachować godność i życzliwość wobec ludzi, a koleżeństwo wobec innych zwierząt. Była to wyranie istota prawych zasad, opancerzony rycerzyk leny bez lęku i skazy. Ulśnił się co prawda syku jaszczurki* ale syk ów silniejszy był niż on i musiał wzbudzić dreszcze sprzed prawieków.

Potulny stoik cieszył się sympatią wszystkich ludzi. Chętnie się z nim bawih’, a on lubił przednimi nogami opierać się na nich. Wówczas tłucioch, wydłużając się, ukazywał lekkie w pasie zwężenie, co w rodzaju kibici. Winiewski czule poklepywał owś kibić i mówił pieszczotliwym głosem:

Ach, jaka zgrabna panienska!

Było w tych słowach trochę przesady. Przede wszystkim nie była to panienska, lecz zwykły sobie samiec, po wtóre nie był zgrabny, lecz skończony fajtłapa. Taka jednak wypowiedź była na owe czasy wyrazem największego naszego przywiśzania i tkliwoci.

Dwunastoletni Janek Jeż, syn naszego gospodarza, był największym przyjacielem Tadka i jemu pancernik okazy-

wał wyjątkowe przywiśzanie. Obydwaj lubili nie tylko razem igrać, ale pancernik, gdzie mógł, na niedużych przestrzeniach, człapał za chłopcem jak piesek na swych krótkich nogach, co bardzo miesznie i wzruszająco wyglądało.

Gdy nadszedł czas odjazdu, powstało kłopotliwe zagadnienie: zabrać go do Polski czy nie zabrać? Janek uparcie nas prosił, żeby mu zostawić Tadka, i rzeczywiście nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć. Wobec uczynnego chłopca, zagorzałego przyrodnika, który nam bardzo pomagał, nie chciałem być niewdzięczny.

Na szczęście złowiliśmy w tym czasie drugiego pancernika i Janek musiał nim się zadowolić. Niechętnie rozstawał się z Tadekiem i wielce markotny zapowiadał, że tam, za dalekim morzem, będzie mu le, a ludzie go skrzywdzś.

Nic podobnego! zapewniałem go. Pójdzie do ogrodu zoologicznego pod dobrś opiekę i będzie cieszył ludzi swym dobrodusznym widokiem!

Ludzi cieszył, ludzi cieszył... powtarzał Janek bez przekonania.

Zapakowanie Tadka nie nastroczało trudności, gdyż w tym czasie przyzwyczaił się nie tylko do nas, ludzi, lecz i do swej skrzyni. Z racji wyższej (czytaj: wyzyskania jjo-jemnej skrzyni) dostał Tadek niebawem towarzysza, mianowicie orlika z gatunku kara-kara, inwalidę o postrzelonej nodze. Jest to w stepach Brazylii dość pospolity drapieżnik, przebywający często wśród bydła i obyty dzięki temu z ssakami; z ich skóry lubi wydobywać różne pasożyty. Przypuszczenia nasze, że wrobec tego nie wyrzśdzi krzywdy pancernikowi, sprawdziły się. Ptak zachowywał się poprawnie i biernie. Tadek natomiast, konserwatysta z zasady, nie uznał nowego towarzysza.

Forma jego nieuznania była dla ptaka niezmiernie bolesna. W określonej wędrówce po skrzyni pancernik postępował tak, jak gdyby orlika nie było, więc niby go nie widząc, brutalnie spychał go z drogi, przytłaczał do ciany, czasem nawet włożył na niego. Czynił to z dziwnym spokojem bryłowego cielska i z niefrasobliwś minś istoty nie spełniającej nic więcej, jak tylko nakaz sumienia. Orlik z poczśtku wymijał atakujścś masę, a potem, zniecierpliwiony, zaczął bronić się dziobem. Było rzeczś znamienneś, że oględnie szarpał napastnika za wystajśce uszy, za nos, za pazury, lecz nigdy nie uderzył w oczy, co zrobiłby każdy inny ptak drapieżny.

Wobec takiej obrony ptaka pancernik wpadł na nowy pomysł. Obracał się tyłem i swym pancerzem jak gronem czołgiem zaczął przypierać ofiarę do ciany. Orlik był bezradny i musiał skakać pomimo złamanej nogi, nam za przypadała często w udziale interwencja pokojowa.

Jednakże (powiadajś optymici) każde przeladowanie z czasem załamię się samo w sobie. Pewnego dnia pancernik uznał, że zadoć uczynił rycerskiemu obowiśzkowi obrony własnego progu, i zakończył walkę. Odniosłem wrażenie, że Tadek w głębi swej poczciwej duszy nigdy tej walki nie pochwalał. Był to wybitny sybaryta i walczył raczej dla honoru. Być zresztś może, że w końcu przekonał j'ię, iż nie ma między nimi żadnych sprzecznych interesów, pancernik bowiem był w zasadzie jaroszem, orlik mięsożerny.

Zwierzęta, jak wiele ludzi, mają prymitywną filozofię życia i zmuszone przebywać blisko siebie, bywają zazwyczaj albo wrogami, albo przyjaciółmi: pośredniego stosunku nie ma. Przyjań, jaka zwiślała następnie pancernika z orlikiem, była szczerą, głęboką, spokojną, bez histerycznych

wybuchów, można powiedzieć, że rzeczowa. W tę przyjań pancernik wkładał pogodę ducha i dobroduszość, kara—kara wykwint form i szerszy pogląd na życie. Było w nich trochę z Sancho Pansy i Donkiszota. Nie ulegało wątpliwoci, że w tym towarzystwie musiał wiele zyskać gburowaty nieco Tadek.

Gdy w czasie podróży do Polski przynosiłem mu każdego popołudnia jedzenie, budziłem go zwykle stereotypowym okrzykiem:

Hej, Tadku, wstawaj!

Wtedy w jego upione ciało wchodziło powoli życie i Tadek ociągając się wstawał. Gorzej jednak było pod równikiem, gdyż upały morzyły nocnego zwierza do tego stopnia, że należało go kilka razy przewracać jak martwą kulę, zanim powoli rozklejał zlepione powieki. Wówczas orlik poinegał mi budzić piocha. Dziobem chwycił jego ucho i ostrożnie nim targał, tak ostrożnie, jak gdyby to czyniła matka wobec swego dziecka. A robił to przecież notoryczny drapieżnik swym straszliwym dziobem, przywykłym do zabijania i darcia mięsa. Dzięki tym troskliwym zabiegom pancernik budził się i zaraz dreptał do miski z pokarmem. Podczas gdy z mlaskaniem oddawał się rozkoszy spożywania, orlik z boku przyglądał się towarzyszowi z widocznym zadowoleniem.

Była to przyjań serdeczna i niezmięcona. Zwierzęta dostały się szczęśliwie do Polski, tu jednak nieubłagany los rozdzielił przyjaciół i wyrzdził pancernikowi nieludzki krzywdę. W zwierzyńcu poznańskim wsadzono go do klatki z małpami. Psotne małpiska jedziły teraz na nim i płały mu figle, a poczciwy pancernik stał się omieszonym błaznem. Życie jego zeszło na psy, gorzej nawet, na małpy.

Tak, tak, kochany Tadku, nie tak to illo tempore* bywała gdy towarzyszymi twoimi były orły, a z drzemki południowej budzili cię po imieniu ludzie życzliwi...

Obcy ludzie, zwiedzający ogród zoologiczny, mieli sir> % ciebie i z twej nieporadności. Gdyby wiedzieli, jak za>. ciekłe i mężnie umiały walczyć przez sześć dni o utraconą wolność! Gdyby chociaż przez głowę im przeszło, jaki ry^cerski duch żył pod twoim gruboskórnym pancerzem'

Trudno mi było opędzić się uczuciu lekkiego rozrzew>. jiienia i żalu, żalu do wiata i także do siebie...

Nie ma chyba bardziej upokarzającego uczucia niż wia* cłomoć, że było się zdrajcą przyjaciela.

Illo tempore (lac.) owego czasu.

Kora

Przez kilka tygodni wyprawa nasza przebywała u fazendera Felisbino de Morais Laserda w Fachinal de Pedrao, posiadającego rozległe puszcze między rzekami Jacare a Ivai w brazylijskim stanie Parana.

Felisbino miał sympatycznego syna Manuela, również wielkiego fazendera. Mieszkał on niedaleko mego-postoju, więc pewnego razu złożyłem mu oficjalną wizytę w wieżo wyprasowanym ubraniu myliwskim. Manuel uszczęliwiony takim dowodem niebywałego w tych ustronnych okolicach szacunku przyjął nas, to jest mego przyjaciela, Tomasza Pazia, i mnie, z wylanym sercem, uraczył wietną biesiadą i w końcu owiadczył, że chciałby mi coś podarować. Spojrzał przypadkiem na papugę, drzemisząc na żerdzi pod pułapem, i spytał mnie niepewnie, czy przyjąłbym ten. nikły podarek. Przyjąłem z wielką radością, tym większą, że papuga należała do rzadkiego w tych okolicach gatunku zwanego peita roxa. Tak więc posiadałem ptaka, który, jak mnie zapewniał gospodarz, odznaczał się wielką inteligencją, wyjątkowym darem mówienia i wielu innymi cnotami.

Zrazu papuga nie była ze mnie zadowolona. Gdy uwoziłem ją konno do okolic bardziej zaludnionych, przez całą drogę uporczywie gryzła koszyczek z twardej liany sipo^ w którym ją umieszczono. Musiałem ją wiśzać coraz silniej, aż w końcu nie mogła się wcale ruszać i zaczęła się dusić.

Fazender (port.) właściciel fazendy, majątku ziemskiego w Brazylii.

Na pół martwś przywiozłem do koloni Candido de Abreu, gdzie jednak po kilku godzinach wypoczynku przyszła do siebie. Papugi mają twarde życie.

Przygoda z koszyczkiem była jedynś krzywdś, jakś wyrzđdziłem papudze. Odtśd życie jej popłynęło jeżeli nie po różach, to przynajmniej pogodnie i zupełnie przyzwoicie. Co prawda w Kurytybie w czasie jej pobytu w konsulacie polskim ostrzyły sobie na niś apetyt moje ostronosy i chętnie posmakowałyby udeczek papuzich. Nie dopuciła jednak do katastrofy miła i zakochana w zwierzakach córeczka konsula, która przedmiot westchnień niepoprawnych zbójów otoczyła serdecznś opiekś.

W Paranagua, porcie nadmorskim stanu Parana, dokupiliśmy kilkanacie innych papug i moja papuga dostała do swej klatki kilka towarzyszek. Więc były tam dwie zadziwiajšco wesołe tiriwy, dalej papuga bajtaka, ulubienica Winiewskiego, i dwie inne, których nazw nie znam, a które nazwałbym biednymi pasierbami”, były bowiem stale smutne i przygnębione.

W owe czasy najwięcej lubiliśmy tiriwy. Były to rozkoszne trzpioty, ogromnie żarłoczne, wiecznie ruchliwe, roz-bisurmanione brzdśce, skore do kaźdej zabawy i psoty. Radosnym wrzaskiem napełniały caś okolicę i szalonś wesołociś zarażały wszystkie inne papugi. Bajtaka Winiewskiego, porwana szalem, poczuła się naraz młodym podlotkiem, przekręcała miesźnie łeb do góry i tańczyła w kółko jak narwana. Nawet pasierby” stały się ruchliwsze i zaczęły lepiej jeć. Jedynie moja papuga zachowywała najwięcej równowagi, a to z racji wewnętrznych przeżyć, jakie w niej się wówczas prawdopodobnie rozgrywały.

Mianowicie uwiadomiła sobie, że w kaźdym zdrowym społeczeństwie musi być głowa, jeżeli ma panować ład

i spokój. Głowa naszego ptasiego społeczeństwa mianowała się sama, uważając, że na to zasługiwała, była bowiem największa i najsilniejsza ze wszystkich, odznaczała się ponad to pięknym ubarwieniem i prawdopodobnie dość poważnym wiekiem, a co za tym idzie życiowym doświadczeniem.

Urząd swój spełniała z przejęciem, często mieszcząc nas, obserwatorów. Ruchy jej stały się powolne i dostojne, jak gdyby nabrzmiała powagą, głowę nosiła wysoko i sztywno. Teraz nawet jadała z umiarem, wstydząc się obżarstwa. Jadała ostatnia i bywało, że trzymając smaczny kęs banana, dzieliła się chętnie ze swymi towarzyszkami. Ze stoicką wyrozumiałością pozwoliła wykradać sobie owoce zwinniejszym tiriwom. Poza tym jednak była surowa i karciała bezustannie za najdrobniejsze przewinienia. Odnosiliśmy czasem wrażenie, że zdobyta władza przewróciła jej trochę w głowie i że władczyni papug wyrażanie nadużywa swej przewagi.

Podczas przejazdu przez Atlantyk zdarzyła się tragedia. Jedną z tiriw, wytykając zapewne głowę z klatki, dosięgnęły ostronosi i pożarły. Pozostało po niej tylko kilka piórek i wielki żal zarówno u nas, jak i w klatce papug. Nie ma czego owijać w bawełnę: moja papuga stała się odtąd złoliwą zrzędką i zaczęła dokuczać swym towarzyszkom, a zwłaszcza biednym pasierbom”, dziobiąc je dotkliwie najczęściej bez żadnej przyczyny. niesprawiedliwe to traktowanie pasierby” wzięły sobie tak do serca, że przestały jeć i zdechły po kilku dniach pomimo przeniesienia ich do innej klatki.

Gdy senhor Manuel wręczał mi papugę, chwalił jej wybitną zdolność mówienia. W istocie, papuga często wołała dwa słowa: corra i ricco, co znaczy: chod” i bogaty”, a oprócz tego naładowała szczekanie psa. Na tym jednak

kończyła się jej mśdroć i papuga innych słów nie chciała się nauczyć.

Pragnśłem sprawić przy powrocie miśš niespodziankę córeczce mej, Basi, i nauczyć papugę wymawiania przynajmniej jej imienia. Razem więc z Winiewskim zacząłem na statku powtarzać ptakowi od rana do wieczora słowo Basia”, wymawiając je wytrwale przy każdej sposobności, szczególnie podczas dawania pokarmu. Papuga okazała się jednak skończonym głśbem i w końcu słyszć słowo Basia”, zaczynała się wiercić i cieszyć, ale tylko dlatego, że spodziewała się dobrej zakśski. Wykręcała przy tym głowę i z głupia frant pytała: He? Tyle tylko skorzystała z naszej nauki. To nas jednak nie zniechęcało i w końcu pomagali nam wszyscy, Francuzi, Hiszpanie, Portugalczycy, Murzyni, Chińczycy; z biegiem czasu, jak gdyby szalem ogarnięty, cały statek wołał słowo: Basia”. Wołały wszystkie żywe dusze, nie wołała tylko jedna: papuga.

Z całej menażerii przywiezionej do Polski zatrzymałem u siebie w domu dwa stworzenia: papugę, ceniśc w niej osobistś pamiśtkę po senhorze Manuelu Laserda, oraz sympatycznś i wesołś małpkę, zwanś przez Brazylijczyków mico. Resztę zwierzśt darowałem ogrodowi zoologicznemu w Poznaniu. Oczywiście małpka, która szybko wdrożyła się w domowe zwyczaje, stała się pupilkiem wszystkich. Ludzie kochali jś i rozpieszczali, przemawiali do niej czule, karmili smakołykami i spoglśdali na niś zachwyconym okiem. Bolało to niezmiernie poczciwś papugę, niezdolnś wykazać tylu towarzyskich zalet co jej rywalka. Toteż dla zachowania uczuciowej równowagi musiałem w to wkroczyć i wyróżniać na każdym kroku papugę. Zaniedbane przez ludzi biedactwo odpłacało mi się wielkś wdzięcznościś i gdy tylko mnie spostrzeżało, witało radosnym okrzykiem. Pod-32

czas niadania wolno było papudze przylecieć na stół, zanurzyć dziób głęboko w male (ale raz tylko!) i spróbować gotowanej szynki. Na ten widok małpka zaczynała piszczeć w swej klatce dopóty, dopóki jej także nie wypucilimy na stół. Wtedy obrażona papuga odchodziła poważnym krokiem i pomagajśc sobie dziobem, właziła mi na ramię. Tu czuła się najlepiej.

Na obiad zjadała regularnie dwa gotowane ziemniaki lub łyżkę ryżu, a potem słuchała uważnie koncertu popołudniowego, nadawanego przez poznańskś stację radiowś. Miała dobry słuch. Nie cierpiała powłóczystej melodii

! : * ' A

tanga i objawiała wyrany niesmak. Od biedy uznawała muzykę operowš, zwłaszcza gdy rozbrzmiewała fortissimo. Natomiast bez zastrzeżeń przepadała za onestepem i za piewanymi piosenkami. Wtedy lubiła nucić sobie co pod dziobem i widać było, że oddałaby chętnie ptasiš duszę, by umieć piewać tak samo jak ludzie. Zakończenie koncertu sprawiało jej widoczniš przykroć i gdy następowały notowania giełdy zbożowej, zgorszona zamykała oczy i starała się zasnąć, idšc prawdopodobnie za przykładem wielu innych słuchaczy radiowych.

Po drzemce, trwajšcej do godziny trzeciej, papuga budziła się odwieziona i w godzinach przedwieczornych cieszyła się życiem, wesoło i z przejęciem wykrzykujšc. Zapewne przypominała sobie z pogodniš melancholiš dawne dobre czasy w puszczy, lecz na pewno chwaliła sobie również i obecny los. Czasami była swawolna i na widok wchodzšcego gocia lubiła wrzasnąć kilka razy tak przeraliwie, że wstrzšsała naszymi nerwami. Wtedy wszyscy obecni doskakiwali do niej i spiesznie tłumili jej zapały, ona za uspokajała się natychmiast i zdziwiona patrzyła na ludzi.

Miała wielkš pasję: sery. Za ser gotowa była oddać wszystko sen, spokój, przyjań. Umiała znakomicie odróżniać krajowe od zagranicznych i wiedziała, że lepszy niŹ krajowy był szwajcarski, ale najlepszy camembert. Żywiła trochę żalu do rodu ludzkiego, że nie pozwalał jej jeć tyle sera, ile by chciała. Gdy niedobrzy ludzie starali się odpędzić jš od półmiska na stole, papuga za kaŹdym zbliżeniem ich ręki wydawała gderliwy, protestujšcy głos i opędzajšc się niezgrabnym dziobem, biegła do mnie po pomoc. W istocie brałem jš w obronę i papuga dostawała dodatkowy kawałek sera. Była w siódmym niebie, ser zjadała

z apetytem, a następnie schylała głowę, bym iskał jej pióra na karku. Gdy to czyniłem, papuga mrużyła piękne, czerwone oczy i dziękowała cichutkim gęgotaniem, tak cichym, że tylko ja je słyszałem.

Ruchy jej były dziwnie powolne i podczas chodu papuga kołysała się w prawo i w lewo. Niestety, na dobrym wikcie ptaszysko tyło i stawało się coraz więcej lamazarne i niezgrabne. Jeden z moich przyjaciół widząc już owiadczył,

że papuga przypomina mu żywo starš czarownicę. Było to

porównanie mało zaszczytne i jeżeli już porównywać, to chyba z mężem stanu, i to nie byle jakim, lecz samym Clemenceau*. Papuga bowiem w chwilach wzruszenia napu-szała pióra po bokach dzioba i wtedy głowa jej nasuwała na myl wypisz, wymaluj głowę tygrysa. O, takie porównanie było zaszczytne i nie przynosiło ujmy!

Papugę nazwalimy Korš, bo stale wołała: corral

George Clemenceau francuski mšz stanu, ze względu na podobieństwa rysów twarzy i napastliwość wystšpień parlamentarnych zwany popularnie Tygrysem”.

Mrówkojad

Nieszczęsnym kucharczykiem naszej wyprawy był Stanisław Dšbrowski, 15-letni syn poważanego kolonisty w kolonii Candido de Abreu. Mówię: nieszczęsnym, gdyż biedak nigdy nie mógł nam dogodzić i na nim odbijały się wszystkie złe humory. Była to jego tragedia.

Instynkt samozachowawczy, występujący w puszczy bezwzględniej i brutalniej niż gdzie indziej, sprowadzał się właściwie do jednego zagadnienia: dobrego funkcjonowania żołądka. Gdy więc Staszek podawał nam niestrawną fasolę i nie dogotowane mięso ubitych papug (prawdopodobnie starych jak Matuzalem), to sšdziliśmy, że prawo puszczy od nas żsda, by go łąać i wymyłać mu za chore żołądki. Kto inny na miejscu Staszka z pewnością porzuciłby tak wybredną bandę, on jednak pozostał, wychowany bowiem przez czcigodnego ojca w dobrych tradycjach, miał ambicję przysłużenia się polskiej wyprawie zoologicznej. Więc nie uciekał i tylko ukradkiem pochlipywał.

Uprzedzeni do Staszka, nabralimy w końcu przekonania, że jest nie tylko kiepskim kucharzem, lecz w ogóle jak gdyby niedołągš. Gdy pewnego razu, urlopowany na kilka dni do domu rodzicielskiego, złowił kilkaset motyli i przyniósł je rozpromieniony, Winiewski po obejrzeniu zdobyczy zganił go dokumentnie:

Rany boskie! Przyniosł najpospolitsze paskudztwo! Same ósemki” i tym podobne. Nie bierz się do poważnej pracy...

Była to skrajna niesprawiedliwość. Lecz tak działo się zawsze, dopóki nie nadszedł dzionek, w którym na drogę Staszowego żywota wkroczył mrówkojad.

W czasie naszej wyprawy dotarlimy do rzeki Ivai niedaleko dopływu Jaca i zamieszkalimy w chacie kabokla Franciszka Goncalvesa. Było nas wtedy, nie licząc Stacha, omiu chłopca, mających brać udział w polowaniu na tapiry i jaguary w indiańskich lasach po drugiej stronie rzeki. Spalimy wszyscy pokotem na ziemi w chacie. Pewnego wczesnego poranka zerwalimy się ze snu, przebudzeni piekielnym wrzaskiem. Do chaty wtoczyły się dwa walczące ze sobą cielska. W pierwszej chwili, w półmroku, nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Skoczyliśmy na równe nogi na widok Staszka trzymającego za ogon potężnego mrówkojada z gatunku zwanego przez Brazylijczyków tamandua minm. Staszek ledwo dyszał, ale nie puszczał zwierza wielkiego jak borsuk i stawiającego zacięty opór.

Jak to się stało? Staszek, jak zazwyczaj, wstał tego dnia przed witem i poszedł po wodę do strumyka, płynącego wśród gęszczy o sto kroków od chaty. W drodze powrotnej ujrzał ku swemu osłupieniu na cieście mrówkojada, drepcącego truchtem wprost na niego. Zwierzę jak gdyby chłopca wcale nie spostrzegło. Przeszło obok, o mało co nie ocierając się o jego ubranie. Staszek, poniesiony myliwską pasją, doskoczył do mrówkojada, odważnie złapał go za ogon, nadludzkim wysiłkiem dwignął do góry i rżnął o ziemię. Mało to jednak skutkowało, siły wstętego chłopca nie mogły poradzić zwierzęciu i przygoda prawdopodobnie skończyłaby się ucieczką mrówkojada, gdyby Staszek nie ujrzał na ziemi kłody. Nie puszczał ogona i bacząc, by mrówkojad nie dostał go w swe potężne przednie pazury, chłopak chwycił za drewno i uderzył kilka razy w łeb przeciwnika. Zwierzę przestało się wyrywać i na pół ogłuszone pozwoliło się

zaciągnąć do chaty.

Powstał nieopisany zgiełk. Który z nas chwycił zwierza za ogon, inni zamierzali go skrępować. Daremne wysiłki: muskularne pazury rwały powrozy na kawałki, jakby to były cienkie nici, a gdy staraliśmy się zarzucić pętlę na szyję mrówkojada, on jednym machnięciem przednich łap zsuwał więzy z grubego karku. Kto przywłókł drewnianą skrzynię. Krzepki gość złapał skrzynię i rozerwał, zanim wtoczyliśmy go do rodka. W końcu jednak znalazła się rada. Zwierza wpakowaliśmy do pustego, miedzianego kotła, w którym nasz gospodarz pędził ongi wódkę, by rozpić sąsiednich Indian Koroadów. W masywnej kadzi zwierz był na razie bezpiecznie zamknięty. Scena ujarzmiania mrówkojada odbyła się wśród krzykliwej wesołości i nie była pozbawiona komizmu. Będ co

bšd omiu tęgich chłopa borykało się przez blisko kwadrans z czupurnš bestiš, z którš poprzednio Staszek załatwił się w cišgu kilkunastu sekund. Podczas naszych zmagañ Staszek stał pod cianš błady z rozszerzonymi oczami. Jasnoniebieskie renice jeszcze bardziej mu wyjaniały.

Gdy rwetes ustał i nieco ochłonełimy, podszedłem do chłopca i podajšc mu rękę, powiedziałem serdecznie: Stachu, daj łapę! Jeste zuch!

Staszek w ucisku dłoni wyczuł szczere uznanie i nie mogšc wymówić słowa, zalał się łzami. Tym razem były to łzy nie żalu, lecz radosnego wzruszenia.

Tymczasem zdobycz Staszka zachowywała się w kotle cichuteńko jak mysz. Gdy ostrożnie otworzyłem wieko kadzi, ujrzałem więnia ze zwieszonym nosem i łapami założonymi na oczy. Wyglšdał bez mała, jak gdyby ze wstydu nie chciał patrzeć na wiat.

Był to wyronięty okaz o pięknym, ciemnym futerku

“ *teř

i żółtym pasie na grzbiecie. Podobno wród zwierzyny brazylijskiej występuje doć często objaw chwilowego przytępienia zmysłów i zaniku czujności. Zaobserwować można to zwłaszcza u mrówkojadów i sarn. Na zjawisko to nie ma dotychczas wytłumaczenia i być może, że jest ono skutkiem odurzających właściwości niektórych rolin w lesie brazylijskim lub zgoła działalności pasożytów we wnętrznociach zwierzšt. W takiej to chwili zapewne udało się Staszekowi przychwycić mrówkojada.

Brazylijczycy odróżniająš poza tamandua mirim jeszcze dwa inne gatunki mrówkojadów, olbrzymiego tamandua bandeira, dochodzącego do wielkości wyroniętego psa bernardyna, i karzełkowego tamandua-i, nie większego niż morska winka i żyjącego w lasach nad Amazonkš. Wszystkie trzy gatunki mająš silne, wydłużone, zakrzywione do rodka pazury, szczególnie wielkie u przednich nóg, znakomicie dostosowane do rozrywania twardych mrowisk

ii Š Š i \ 4SKlm> wycišgnięty pysku mieci się długi lęzyk, podobnv J ii , . i) oaoDny do ghsty, wysuwany z błyskawiczny szybkości i służšcy do zgarnJnia J^J

Mrowkojady, nalepce jak ^y do du gzczer. baków, me mająš zębów i nigdy ^ Natomiagt nQ

gach posiadająš mebywa!, siłę . ludzie ^ d

ze wielki mrowkoiad, tamn^j ł i ,

jau, lumandua bandeira, w obronie obei-muje przednimi nogami a t-i i , . p>

. . s Napastnika, obojętne człowieka

czy zwierza, i pazurami tn^A p>

., . . , rozdziera mu plecy z tak ogromną siłą, że umierca przeciwni v i i-

., . . . , ^^^iwnika. Zresztą osobliwe szczerbaki nic złego nikomu w n i .

! , . . . Puszczę nie wyrzdzaję z wyśłtkiem mrówek i innych małych owadów.

Dzień złapania mrówkojada b j 0 ^ ^ ^

Staszka. Chłopak stał mV l i

y fetai się bohaterem i zaczęliś' my go traktować inaczej niż dotychoa0 w

J J^zas. W opinii naszej awansował

ze stanowiska podrzednegn i i i i

P u^ęunego kucharczyka do stopnia współtowarzysza i współłowcy. Ori l i i-;

., y Ud tego czasu już me łajalimy

go tak ostro za brak umieW' i r i.

T.. , . , lieJLtnosci kulinarnych.

Klika dni ponieci byłem r^- i- . . , .

v J w>ieni mimo woli wiadkiem następującej rozmowy między Winiewskim a Staszkiem:

rodziców?' my''liSZ' kiedy odwiedzisz znó^

Nie wiem.

- Dobrze byłoby, żeby jak naj M ,

- O, dobrze by było. Ale czemu?

- Wnet minie główny se2on na mot k a ich już znacznie mniej ...

Na motyle? ... zan^t ł c* i

., ; ^"Pytał htaszek niepewnym głosem, widocznie przypomina i,- i , w... .. l JPu""najšC sobie niedawne wymówki Winiewskiego. J

A iużci, na motyle' 1VTt', . . . ,

. . . . y ' iVlwsisz nam przynieć ich więcej, znacznie więcej! ... J

Z mrówkojadem, niestety, rzecz zakończyła się niefortunnie. Po kilku dniach trzeba go było przenieść z miedzianej kadzi do drewnianej skrzyni, zbitej z najtwardszego drewna. Lecz nawet najtwardsze drewno się nie ostało. Mrówkojad w nocy skrzynię rozerwał i uciekł w las. Tyle

go było widać i wszelkie ludy po nim zagięły ku strapieniu Staszka.

Tak oto przyszło zwierzę z lasu i do lasu znów wróciło, niewiele wspomnień po sobie zostawiając, bo przelotnego gościa mało co poznaliśmy. A jednak ze wszystkich zwierząt, w wyprawie tej schwytych, o mrówkojadzie zachowałem pamięć najwdzięczniejszą. Zjawił się przecież u nas jak dobry duch, by pomóc Staszкови, i jak na ducha przystało znikł po spełnieniu swego posłannictwa. Nam, starszym, przypominał, że winni być ludmi z sercem nawet i w puszczy. Był to, słowem, dobry i zasłużony mrówkojad.

I nawet lepiej się stało, że uciekł. Zapewne zmarniałby w niewoli. Trudno wykarmić i wychować mrówkojada. A tak wiem, że gdzie w nadivaińskiej puszczy żyło zwierzę, które wspominam stale z serdecznym życzliwociem. Wiodło w głuchym gęszczu beztroski żywot zjadacza mrówek i rozrywało, gdy przychodził apetyt, twarde kopce, nocami za węszyło pewnie w pobliżu chaty Franciszka Goncalvesa, strasząc jego dzieci.

Swoim pojawieniem się u nas rozerwał inny kopiec ludzkiej nie wyrozumiałości. Był to mrówkojad rzeczywiście zasłużony.

T

Jaszczur

od mego rutu.

Pamiętnś cieżkš, na której Staszek schwycił mrówkojada, często wracałem z lasu, rozcišgajšcego się po drugiej stronie strumyka. Pewnego razu idšc w skwarze południowym, zauważyłem na cieźce olbrzymiego jaszczura, wygrzewajšcego się na słońcu. Chciałem do niego strzelić, lecz zanim zdšżyłem cišgnšć strzelbę z ramienia, jaszczur poderwał się i błyskawicznym susem wpadł w gšszcz.

Gdy następnego dnia o tej samej porze wracałem z lasu, pomylałem o dniu wczorajszym: przygotowałem zawczasu fuzję i zacząłem się skradać. W istocie jaszczur jak kłoda leżał na tej samej cieźce. Złożyłem się, ale w tej właśnie chwili czujne stworzenie podskoczyło i chybiony strzał poszedł w puste miejsce. Zaszleciło tylko w krzewach i na tym niesławnie zakończyły się łowy.

W myl mšdrej zasady harcerzy, że w chwilach niepowodzenia należy się mieć, każde własne pudło wywoływało u mnie wesołość. Więc i tym razem rozemiałem się w głos i pogroziłem palcem, w stronę, gdzie ukrył się uciekinier. Pomimo naszej woli nawišzała się jaka nić sympatii między mnš a jaszczurem, który widocznie nie chciał zginšć

Gdy wszedłem do chaty, zapytał mnie Goncalves, do czego strzelałem.

Do wielkiego jaszczura odpowiedziałem.

Barbaridadel zaperzył się nagle gospodarz. Znam

go, to bandyta! W zeszłym roku wychwytał mi kurczęta, a tego roku wypija mi wszystkie kurze jaja. Jaka szkoda, że senhor go nie zatłukł! ...

Spróbuję jutro.

W cišgu dalszej rozmowy dowiedziałem się, że Goncalves znał dokładnie jamę w gšszczu, w której jaszczur się ukrywał. Chciałem zapytać, dlaczego, do diaska, nie wykopał żarłocznego opryszka z płytkiej zazwyczaj nory i nie zabił go, skoro tyle szkód wyršdza. Na szczęście szybko ugryzłem się w język, przypominajšc sobie wrażliwość kabokli.

Ale przyszła mi myl złowienia jaszczura żywcem i zabrania go do Polski. Toż to byłaby gratka nie lada! Zaproponowałem Goncalvesowi, a on radonie zgodził się wykopać zwierza za jednego miłrejsa*: więc poniesienie w ostatnim roku strat na kilkadziesišt miłrejsów nie poruszyło gospodarza, natomiast zapaliła go perspektywa zdobycia jednego miłrejsa, co prawda w gotówce.

Wzięliśmy się zaraz do dzieła. Goncalves zaprowadził nas do jamy i okazało się, że niewiele potrzeba było kopać. Po krótkim czasie natknęliśmy się na łuskowaty grzbiet jaszczura i wnet Goncalves

wydobył go na dzieńne wiatło, przezornie trzymając jednš rękš za kark, a drugš poniżej brzucha. Zwierz wił się i wrywał, smagał ogonem jak biczem, kłapał wciekle zębami. Daremnie. Winiewski niczym zawodowy hycel obwišzał go szybko powrozem i pucił na ziemię jak psa na smyczy. Więzień wykonał kilka potężnych susów, ale wyrwać się nie zdołał.

Był to olbrzym w swoim rodzaju, mierzył około półtora metra długości razem z ogonem. Nauka nazywała go Tupi-nambis teguixin. Wzdłuż grzbietu miał piękny, jasny ry-

Milrejs ówczesna jednostka monetarna w Portugalii i Brazylii.

sunek na ciemnym tle, z pyska był podobny do małego cielaka. Wspaniale wypasione cielsko wiadczyło chlubnie

o pożywności jaj Goncalvesowych kur. Więc Goncalves żalosnym okiem patrzył na okrągłość jego kształtów

I wzdychał, gdy kładlimy zdobycz do skrzyni.

Jaszczur okazał się dobrym i wygodnym towarzyszem. Mało sprawiał nam kłopotów. Wbrew opinii nie był obżartuchem, co dwa tygodnie zjadał jedno kurze jajo, a co tydzień wypijał trochę wody. Przyjmowanie pokarmu odbywało się z pewnym ceremoniałem. Trzymając nieruchomo łeb nad miską, wyciągał długi język, rozdwojony na końcu, maczał go w rozbitym jajku i wciśgał szybko do pyska, by następnie powtórzyć tę samą czynność. Po nasyceniu jaszczur oblizywał powalane żółtkiem szczęki i szedł spać.

Dziwne to zwierzę szybko się oswoiło i wkrótce mogliśmy z nim robić, co nam się żywnie podobało. Wszelkie dotknięcia ludzkiej ręki i dowody naszej życzliwości przyjmowało ze spokojem. Poruszało się mało i ociężale, żółwym prawie krokiem, jak gdyby w niewoli zatraciło swoją naturalną zwinność.

W owe czasy sypiało całymi dniami, zbliżała się bowiem pora chłodnych nocy i zimowego snu gadów i płazów południowobrazylijskich.

Niestety, życie koczownicze, które jaszczur wiodł wraz z nami, nie pozwalało mu odbyć normalnej, kilkumiesięcznej drzemki. Wstrząsnany w czasie bezustannej wólczy, miewał pewnie koszmarne sny o ludzkich potworach.

Obcy ludzie odnosili się do niego z wyjątkową rezerwą. Ostrożnie zaglądali do klatki i chociaż niewiele go widzieli, gdy spał w listowiu, oświadczali z całą pewnością, że jest to bestia bardzo, a bardzo niebezpieczna. Wzbudzał lęk i poszanowanie.

Czasem było widać część jego grzbietu lub ogona. Wtedy ludzie nie dowierzali ani jemu, ani nam, twierdząc, że wieziemy wielką, tajemniczą zmię.

Jaszczur najchętniej spędzał czas, wygrzewając się na słońcu i leżąc jak martwy z przymkniętymi oczyma. Skoro siadałem obok niego, zaczynał powoli, jakby z trudem się przezwyciężając, otwierać oczy. Wpatrywał się we mnie uporczywie, bez ruchu, jak żywy gład. Mógł patrzeć tak przez długie minuty wzrokiem niemym, wnikliwym, zimnym jak stal, a jednak wyrażającym bezustannie ukrytą, niepojętą myśl. Gdy w końcu pod wpływem urzekającego spojrzenia zaczynałem czuć się nieswojo, jaszczur powoli oczy zamykał.

Dziwne to zachowanie z początku mnie bawiło. Dostrzegając w nim jakiś rodzaj uporczywego wyzwania i rzucając mi rękawicę podnosiłem z humorem. Lecz nie na długo. Wzrok jego zaczął budzić we mnie dręczące zagadnienie. W porodku rozgorączkowanej przyrody, jakby rozgonionej i histerycznej, jakby pędzącej gdzieś na olep, one jedyne, oczy jaszczura, były przeraźliwie spokojne,

były twarde i srogie. Tam dokoła hulały rozkiełznane namiętnoci, tu natomiast spozierała z nieruchomych oczu inna pasja, cicha, lecz przejmująca pasja wielkiego wyrzutu. Była to zawziętość upartej, nieposkromionej skargi. Oczy zdawały się bezustannie oskarżać człowieka:

Krzywdzisz mnie! ...

Była w nich siła zaklęcia. Z ich wyrazu jak gdyby biła surowość, która wdzierła się w głębi człowieka niby ostrze sztyletu. Była to walka, w której uwięziony zwierz umiał cały ciężar wrogiego napięcia przerzucić do duszy ludzkiej i obarczyć jej sumienie.

Pewnego dnia nie wytrzymałem spojrzenia jaszczura i pu-

ciętem go na wolność. Lecz on nie ruszył się, nie chciał uciekać. Wciśnięty na mnie patrzył sztywno, widrując wzrokiem. Wydawało się prawie, jak gdyby chciał nadal trzymać mnie w niewidzialnej uwięzi.

Odszedł dopiero po godzinie. Oddalał się powoli, krok za krokiem, z jakś jaszczurczą godnością. Rozglądał się uważnie. Potem gdy przybył w pobliże krzewów, nagle dał gwałtownego susa i z dononym szelestem zginął w gęszczu.

Zginął nam z oczu, lecz wymowny wzrok jego utkwił mi na długo w pamięci. Na zawsze. Nie mogłem uwolnić się od jego skargi. Nie mogłem zapomnieć jego urzeczenia. W oczach tego jaszczura widziałem jeszcze przez długie lata jak gdyby wyrzut całej przyrody, wyrzut przeciw ludzkiej przemocy.

A może w oczach jego widziałem tylko odbicie własnego sumienia? A czy to właściwie nie wszystko jedno?

Ludzkie sumienie i ludzkie interesy, jak to wiadomo, nie zawsze szły w parze, a często brały się za łby. Tak było

-.^vJU t'we sumienie pozwalajśc uciec

-jaszczurowi, wywołało wzburzenie gdzie indziej: u Franciszka Goncalvesa.

Podczas ceremonii uwalniania gada był nieobecny i wrócił do chaty, gdy już było po wszystkim.

Jaszczur?.' krzyknął Goncalves, chwytając się za głowę na widok pustej klatki.

Tak, jaszczur! odpowiedzielimy chórem.

Poszedł żywcem?

Poszedł żywcem.

O me biedne kurczęta! O me biedne jaja! Goncalves niemal że płakał. O miseria, o desgracial

Biszo de pe

Brazylijczyk jest na ogół człowiekiem wesołym i pogodnym i do wszystkich zwierząt odnosi się z dobrotliwym humorem. Tak więc zwierzęta żyjące w puszczy zwykły nazywać zbiorowym wyrazem o brzmieniu żartobliwym: bi-chos (czytaj: biszos), co w przybliżeniu odpowiada naszemu pojęciu: robactwo. A zatem jaguar to biszo, sarna to biszo, papuga to biszo, karaluch to biszo, słowem, biszo to cały żywy inwentarz leny.

Natomiast prawdziwym biszo, mniej przyjemnym, było biszo de pe. Była to pchełka ziemna, podobna rozmiarami do swej europejskiej kuzynki, stworzonko w Brazylii nader popularne i pospolite. Można

js było spotkać wszędzie, a szczególnie obficie w suchych miejscach, jak na przykład w miasteczku Calmon, na szlaku między Ponta Grossa a Candido de Abreu. Stała się tam istna plaga ludności. Już po tygodniowym pobycie w kolonii Candido de Abreu poczułem swędzenie w wielkim palcu lewej nogi. Nie było zbyt bolesne ani długotrwałe, po kilku minutach ustało. Pomimo że się powtórzyło w następnych dniach, nie zwracałem na nie uwagi sędzśc, że to niewinne obtarcie skóry. Pewnego wieczoru przy rozbieraniu się spojrzałem na nogę i tknęło mnie złe przeczucie. Zawołałem Michała Budasza, towarzysza naszej wyprawy, syna polskiego kolonisty. Biszo de pe! orzekł natychmiast. Diabli nadali! Mylałem, że chodząc stale w paradnych

myliwskich butach ustrzegę się od pasożytów, a tu masz! Na domiar stwierdziłem z osłupieniem, że biszo przez kilka dni zdołało poczynić dobre postępy. Wgryzło się w ciało już tak głęboko, że znikło z powierzchni, pozostawiając tylko czarna cętkę, otoczoną jasną obwódka wypłowiałej w tym miejscu skóry. Operacja polegała na wyważeniu igły intruza, co oczywiście nie udało mi się. Wobec tej pierwszej pchły nie dorosłem do zadania. Podczas grzebania rozerwałem bestię na pół, dobywając na wierzch tylko odwłok z mnóstwem jajek; reszta pchły pozostała w ciele. Gdy w końcu rana zalała się krwią, dałem za wygraną, miejsce zajodynowałem i musiałem je leczyć przez calusienki tydzień.

Tyle pierwsza pchła ziemna. Miałem ich potem jeszcze kilka, z którymi dawałem sobie radę coraz lepiej, gdyż jako mędry po szkodziu Polak pobrałem kilka lekcji wydobywania niemiłych gości z ciała. Sposobności ku temu było pod dostatkiem, tubylcy bowiem chadzali przeważnie boso i dlatego musieli co dzień polować na pchły. Łowy te należały do ich regularnych czynności jak jedzenie lub picie i były uwięconym tradycją przygotowaniem do snu. Wielu z nich miało nogi szkaradnie podziurawione, szczególnie pod paznokciami.

Brzydki zwyczaj pasożytowania mają tylko zapłodnione samice pcheł ziemnych, które wlażą pod skórę, znoszą jajka i po pewnym czasie same wypadają wraz z jajkami. Pchła ziemna usunięta zawczasu, czyli tego samego dnia, nie pozostawia po sobie zbyt wielkiej rany. Rana goi się zwykle przez noc. Gorzej w razie jej zaniedbania. Brud, który dostanie się do rany, może spowodować niebezpieczną gangrenę. Podobno bywały wypadki mierci z tej przy-52

czyni, a pewien księdz w Calmonie przed kilku laty tak poważnie zachorował, że nie mógł się ruszać i musiano go wywieść z zapchlonej okolicy do Kurytyby.

Gdy pod koniec pobytu w Candido de Abreu ogarnęła nas wszechwładna mania zbierania żywych zwierząt, by zawieść ich jak najwięcej do Polski, odezwał się do mnie pewnego razu Winiewski, dzielny towarzysz doli i niedoli brazylijskiej:

Mam nowego zwierza!

I nie czekając na pytanie, zdjął lewy but i skarpetkę i z triumfem pokazał mi piętę.

Biszo de pe! postawiłem jak ongi Michał Budasz diagnozę.

Tak, tego bisza zabiorę do Polski.

W okowicie?

Ależ gdzie tam! Żywego w nodze.

Mówił o tym z takim zadowoleniem i młodzieńczę butś, że nie miałem nic na to odpowiedzieć i tylko pokiwałem głowś.

Pan się mieje? zachnśł się niby urażony. Zobaczy pan, że zawiozę bisza do Polski ...

Pomimo nasuwajścych się wśtpliwoći podziwiałem zawadiacki pomysł towarzysza okazujścogo czasem, jak widać, oryginalne ambicje. Niech sobie zawozi, pomyłałem, nie moja to, lecz jego pięta.

Tymczasem biszo de pe, które tak niezasłuzenie awansowało z roli pasożyta na przedmiot troskliwej hodowli Winiewskiego, zachowało się całkiem przyzwoicie, nie dajśc powodów do skargi. Przebyło bez wypadku długś podróż z głębi kontynentu nad morze, gdzie nadal polowaliśmy w gorścych nizinach. Jak wierna istota towarzyszyło Wi-53

K o W.

ja n 5C

I

2

q

P. O NI

CO tti

cr?

B O

&

r,

B

et oot'

B F

o

B. ST

o

o s o et

Makakinio

Po ukończeniu polowań nad rzekš Marequinhš powierzyłem na pewien czas kierownictwo wyprawy Winiewskiemu, sam za z Tomaszem Paziem, polskim kolonistš i osobistym przyjacielem wielu Indian, udałem się w gęste lasy między rzekš Barboleta a Barapreta, by zwiedzić obóz tamtejszych Indian Koroadów, żyjących pod zwierzchnictwem ka-pitona Zinia. Zinio przyjšł nas gocinnie i podczas kilkudniowej bytnoci w jego toldzie* przekonałem się, że jest to kapiton (czyli wódz uznany przez rzšd brazylijski) doć inteligentny, zdradzajšcy nawet pewne wyrobienie polityczne i jasny poglšd na rzeczy.

Indianie tego obozu szczególnie mnie polubili, gdyż starałem się być hojny wobec nich i za ich gocinnoć odwzajemniać się różnymi podarkami.

Którego dnia siedzielimy przy ognisku pijšc, jak zwykle, odwar herbaty parańskiej, zwany szimaronem. Uderzyło mnie, że tym razem podawała nam goršcš wodę bardzo ładna dziewczyna. Miała chyba szesnacie lat. Było w Indiance tyle uroku dziewczęcego, że patrzyłem na niš z

życzliwym zaciekawieniem, tym bardziej że na ramieniu nosiła młodszą małpkę. Była to miła, bardzo oswojona kapucynka. W pewnej chwili stary Zinio zwrócił się do mnie z pro-

Toldo (toldo, hiszp.) okrągła, pokryta skórą chata Indian w Ameryce Południowej.

pozycję, bym został u Koroadów na stałe, a dadź mi tę dziewczynę za żonę. Przyznam się, że propozycja spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Po chwili odrzekłem:

Mam już żonę.

To nic odparł żywo kapiton u nas wybitny człowiek może mieć dwie żony. Więc zostań i bierz ją. Jest to córka Bastiona, tego, który robi dla ciebie rzeby z gliny. Czy twoja żona jest pracowita?

Bardzo pracowita.

Ale na pewno nie umie pleść takich koszyków jak córka Bastiona. Więc zostań.

Indianka tymczasem krzątała się naokoło nas z miną tak obojętną i spokojną, że przypuszczałem, iż nie wie, o co chodzi. Później dopiero dowiedziałem się, że szelma rozumiała każde słowo rozmowy prowadzonej łamaną portugalszczyzną. Przypatrywałem się zaofiarowanej żonie z uwagą i stwierdzić musiałem, że w istocie była to dziewczyna sympatyczna i wcale gładka.

Niestety owiadczyłem kapitonowi z naciskiem nie mogę u was dłużej pozostać jak tylko kilka dni ...

Zapadło głucho milczenie. Zinio przygryzł wargi i był w zwarzonym humorze. Chcąc załagodzić nastrój i skierować rozmowę na inne tory, zapytałem, czyja to małpka, którą widzę na ramieniu dziewczyny.

To jej makakinio wytłumaczył Indianin burkliwie. Bardzo do dziewczyny przywiśzany. Złapał go niedawno jej brat, tęgi myliwy.

Chciałbym makakinia kupić!

Wtedy Zinio spojrzał na mnie z odcieniem drwiny i rzekł z przekśsem:

Widzę, że wolisz małpkę niż dziewczynę. Ona małpki nigdy nie sprzeda, bo ją bardzo lubi.

Na tym drażliwa rozmowa się skończyła. Pokrzyżowałem plany Zinia, który pomimo zawodu uznał moje stanowisko i stał się znowu troskliwym gospodarzem. W ogóle Koroadzi okazywali nam w tej wsi wiele przyjani. Przynosili między innymi różne wyroby swej prymitywnej sztuki, które skwapliwie skupowałem. Bastion, ojciec dziewczyny, po kapitonie najpoważniejszy mieszkaniec indiańskiego obozu, rzebił mi wspaniałe prymitywy z gliny i głównie dla niego poprosiłem Indian, by zechcieli mnie odwiedzić w kolonii Candido de Abreu, gdzie stale przebywała nasza wyprawa. Indianie zaproszenie przyjęli z radociš i gdy ich opuszczaliśmy, przyrzekli zjawić się wkrótce w kolonii.

Tomasz Pazio, znajšcy Indian jak własne kieszeń, zbeształ mnie zdrowo i owiadczył, że głupstwo robię, bo Koroadzi gotowi zwalić mi się z całym szczepem na kark ku utrapieniu mojemu i kolonistów.

Dziewczyny przez cały czas pobytu u Indian już nie widziałem. Unikała nas w obawie, że zabiorę jej małpkę. Dopiero gdy wyruszaliśmy w drogę i przepływali łódkš przez rzekę Ivai, nad którš obóz leżał, ujrzałem Indiankę na wysokim brzegu. Wschodziło właśnie słońce ponad puszcž i różowymi promieniami owietlało samotne postać dziewczyny. Stała wyniosła i nieruchoma jak piękny posžg. Uporczywy wzrok wlepiła w nasz łód. Na ramieniu miała małpkę, którš pieszczotliwie głaskała małš, bršzowš dłoniš. Na widok Indianki serce zabiło rni żywiej. Zaczšłem żegnać jš z daleka rękę, ale ona nie odpowiadała żadnym gestem. Dumny, pokrzywdzony podlotek! Stała cišgle wyprostowana jak posžg i wpatrzona w nas i tak jš straciłem z oczu za zakrętem rzeki.

Gdy przybyłem do Candido de Abreu, zastałem tam kilka listów z Europy, między innymi z domu, donosžcych, że

“moja,

rosme jak na drożdżach i że opowiada wszystkim o tatusiu, który wyjechał do Brazylii po to, by przywieść dla niej żywš papużkę i małpkę.

Papużkę i małpkę! O papugę mniejsza, posiadałem ich sporo, ale z małpkš rzecz trudniejsza. Wyprawa nasza miała się ku końcowi i kiepskie były widoki zdobycia żywej małpki. Jedynym okazem był makakinio Indian. Życzenie pięcioletniej jedynaczki było rozkazem ważniejszym niż wszystko inne. Toteż gdy po kilku dniach Koroadzi przybyli do nas (obawy Pazia okazały się płonne, bo było ich tylko pięciu, to jest Zinio, Bastion i trzech młodzianów), wytłumaczyłem im, o co mi chodzi i że chętnie chciałbym mieć ich małpkę. Indianie zrozumieli natychmiast, gdyż byli moimi przyjaciółmi. A ponieważ kobiety indiańskie, a tym bardziej młode dziewczyny, nie miały ważnego głosu ani posłuchu, więc Koroadzi wysłali zaraz do obozu jednego spośród młodszych, syna Bastiona. Dzielny junak po trzech dniach wrócił z małpkš. Długo opowiadał co w ich języku, na co Bastion trochę posmutniał. Potem zwierzył mi się, że córkę miał bardzo głupiš, bo nie chciała dać małpki, a gdy makakinia przemocš jej odebrano, to bezustannie beczała. Bastion wstydził się za córkę, opowiadajšc o tym zajciu.

I ja zawstydziłem się, ale z innych powodów niż Bastion. Jednakże na nieprzyjęcie małpki było już za póno, wywołałoby to zdziwienie i poczytywano by za zniewagę. Więc dałem im kilka milrejsów i nabyłem makakinia.

Gdy Indianin wycišgnšł małpkę z worka i wręczył mi jš, zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy. Obezwładniona grozš, przestraszonym wzrokiem toczyła dokoła, szukajšc daremnie pomocy. Wzišłem jš w ręce. Drżała na całym cieiele,

a maleńkie serduszko biło, jak gdyby chciało wyskoczyć. Przemówiłem do niej głosem miękkim i tak pieszczotliwym, na jaki się tylko zdobyć mogłem. Długo trwało, zanim dzikuska trochę się uspokoiła. Krzyk jej przeszedł w donony, urywany gwizd, a potem obniżył się do dwięczonego głosu fletowego, coraz cichszego i łagodniejszego. Pyszczyk wyciśgała przy tym żalonię, jak gdyby była skarżycem się dzieckiem. Ukojona w końcu ciepłym ręk, uspokoiła się zupełnie, zamknęła oczy i usnęła mi na dłoni. Był to sen pełen wzruszającego zaufania i tylko od czasu do czasu przerywany stłumionym westchnieniem drobnego ciała.

Brazylijczycy w okolicach Ivai ten rodzaj małpek ka-pucynek nazywali mico lub macaco, a zdrobniale makakinio. Wyronięty mico dochodził do wielkości królika, tymczasem nasza małpka była jeszcze prawdziwym dzieckiem, nieco większym niż męska pięć, o wielkiej jak u dzieci głowie, czarnej czuprynce, rozumnych lepiach i miłym, obronionym pyszczku, aż nazbyt przypominającym ludzką fizjonomię.

Była to małpka łagodna i nad wyraz żądna pieszczot. Oswoila się z nami szybko, lecz nigdy nie wyzbyła się pewnej niemialoci. Bywało, że w czasie swobodnej igraszki ni stąd, ni zowąd oczy jej zachodziły jakby mgłą. Wtedy małpka zaczynała zawodzić głośnie skargi, patrząc tęsknym, nieprzytomnym wzrokiem w dal. By ją uspokoić, trzeba było głaskać jej główkę, szeptać ciche, przymilne słowa i podsuwać rękę, by na niej zasnęła. Widocznie znała i pamiętała pieszczoty innych, dziewczęcych ręk. Co dzień budziła nas melancholijnym głosem fletowym, tak melodyjnym i czystym, że zdawało się, iż to pieśń ptaka, a nie powiś małpki.

Niestety, zanim należycie do nas się przyzwyczaiła, nadszedł czas zakończenia wyprawy i ruszenia w daleką dro-

gę powrotną. Z konieczności nie mogliśmy makakiniowi poświęcić tyle czasu i opieki, co dotychczas, mając na głowie tysiąc innych spraw. Małpka poszła dosłownie w kąt. Ku jej osłupieniu zamknięto ją pewnego dnia w małej klatce i władowano na wóz między stopy innych skrzyń, w których znajdowały się zbiory wyprawy i żywe zwierzęta. Pierwszego dnia dostała się przez naszą nieuwagę w bezporednie sąsiedztwo ostronosy, notorycznego rabusia i największego wroga małp. Bliskość drapieżnika musiała stargać nerwy biednej małpeczki, zanim przełożyliśmy ją gdzie indziej.

Przez siedem następnych dni jechaliśmy wozem do Ponta Grossa, najbliższej stacji kolejowej. W czwartym dniu wydostaliśmy się z rejonu lasów i na widok rozległych stepów, nie widzianych od kilku miesięcy, uczucie niebywałej radości rozsadzało nam piersi.

Wonice, jadący z nami w liczbie kilkunastu, wpadli w szal i bijąc zapamiętałe muły, starali się wzajemnie przecignąć. Po wyboistej drodze wozy skakały jak piłki. Na nieszczęście ani Winiewski, ani ja nie byliśmy w tej chwili na naszym wozie i wonica, nie bacząc na to, co wiezie, wziął również udział w dzikim wycigu.

Skutki były fatalne. Małpka, obłuczona i roztrzęsiona, wyszła z karkołomnej jazdy na pół martwa. Przez cały dzień żaliła się głono w klatce. Na postojach zaciekawieni ludzie podchodzili i z trwogą pytali, dlaczego tak wrzeszczy. Nie wiadomo było, co odpowiadać. Przecież sprawa była jasna: porwane dziecko płakało z bólu i z tęsknoty i skarżyło się, że ludzie są li i że nad Ivai ludzie byli lepsi.

Następnego dnia klatkę makakinia zalegała cisza. Gdy rozgarnąłem siano, małpka ociężale podniosła głowę. Oczy miała tak beznadziejnie smutne, że mi serce się ciskało.

Chciała powstać, ale zabrakło jej sił. Wziłem ją na rękę i chroniąc przed wstrząsami dalszej jazdy, wsadziłem do obszernej kieszeni mej kurtki myliwskiej. Było jej tam ciepło i miękko. W wygodnym przytulisku małpka jak gdyby się ożywiła. Spoglądała na mnie w górę z wdzięczności. Niestety, tego dnia nic nie jadła, a następnego już wychudła jak szkielet.

Od tego czasu było z nią coraz gorzej. Zbliżaliśmy się do Ponta Grossa, położonego na wysokim płaskowyżu pa-rańskim. Nocne chłody bliskiej pory zimowej dawały się nam we znaki, a tym bardziej chorej małpce, wyrosłej w ciepłym lesie nad Ivai. Nie było dla niej ratunku, marniała nam w oczach pomimo troskliwych zabiegów. Konała przez trzy dni bez skargi, z tępi rezygnacją.

Mylałem, że nastąpi jakie polepszenie po przebyciu fatalnej jazdy wozem. Do Ponta Grossa zajechaliśmy pewnego dnia pod wieczór i małpka rzeczywiście znów poweselała. W nocy spała spokojnie. Lecz rano przyszedł koniec.

Wyniosłem ją na słońce, by ją ogrzało. Małpka oddychała ciężko, bezwładne ciało nie dawało już innych znaków życia. Musiałem na pół godziny wyjść na miasto po sprawunki. Gdy wróciłem, małpka już nie żyła. Na ziemi obok niej były dwie plamy. Jedna, większa, pochodziła od liny syczącej się z pyszczką, druga od łez, które wypłynęły jej z rozwartych szeroko oczu. W szklane renice padały promienie słońca, jak gdyby chciały się wdrzeć w głębi martwego ciała i zbudzić je do życia.

Mimo to sumiennie spełniłem życzenie mej córki. W Re-cife udało mi się nabyć nową małpkę z tego samego gatunku. Zdrowa dojechała do Polski i zaaklimatyzowała się wymiennie. Nazywaliśmy ją Mikusiem od brazylijskiej nazwy mico.

‘.....TT’

Miku po trudach podróży wydobrzał i stał się pięknym młodzianem i tęgim zuchem. Był mśdry i wesoły. Miku dawał sobie znakomicie radę z życiem. Rozkosznego łobuza wszyscy lubili i na odwrót, on wszystkich darzył przyjaniś. Miku jednakże miał jednš wadę: do wszystkich żywił nieograniczone zaufanie, tylko nie do mnie. Nie lubił mnie, bał się i stanowczo nie pozwalał, bym go dotykał. Daremnie starałem się pozyskać jego przyjań. Bolała mnie niemiła sprawa i gdyby to nie było wręcz absurdalne, sśdziłbym, że Miku niezbadanym instynktem zwierzęcym wyczuwał wszystko, co się działo nad Ivai i w Ponta Grossa.

Gdzie ryby wędrowały po ziemi

Ostatni okres naszej wyprawy południowobrazylijskiej, przebyty w bujnej nizinie przymorskiej koło Morretes, należał do najdziwniejszych przeżyć. Było to niby długotrwałe senne rojenie. Dopiero póniej zacząłem sobie uwiadamiać cały łańcuch sprzyjajšcych okolicznoci, jakie spowodowały? że pozornie tak konkretny, realny byt w tej głuszy zamieniał się w osobliwš bajkę. Kilka tygodni trwały owe bukoliczne nastroje, a były to tygodnie wyjstkowo szczęśliwe w moim życiu.

Zbliżał się koniec maja, na południowej półkuli pora odpływu słońca ku północy. W głębi kraju, na wyżynie parań-kiej, nie było już skwarne go ciepła, chłodne noce dawały się we znaki, przyrodę jak gdyby nękał zanik sił i nam także było nietęgo. Nietęgo było szczególnie wśród przenikliwych wiatrów na stepowym płaskowyżu u zachodnich stóp Serra do Mar.

Przejdźcie na drugš stronę gór, do Morretes, a zobaczycie, jaki tam kraj! radził nam Józef Kietliński.

Jaki kraj? pytalimy się.

Rajskie ustronie! Co tam jest z raju, z Arkadii, z Olimpu, z krainy wszelkiej szczęliwoci! z umiechem zachęcał miły rodak.

W istocie, gdy niebawem przenieliśmy swš wyprawę pod Morretes, było to jak gdyby wejście w inny wiat. Porywajšcy, czarowny wiat! Najzuchwalsze wyobrażenia o tropikalnym przepychu, snute pod szarym niebem naszej

5 Zwierzęta z lasu dziewiczego

Północy, tu przyoblekały się w urzekający kształt. Tu urzeczywistniały się wszystkie marzenia młodości i żyliśmy jak gdyby na krawędzi fantastycznego kaprysu, z dnia na dzień coraz rozrzutniejszego.

A więc po przebyciu pasma Serra do Mar ustały, jakby ręką odjętą, przykre wiatry i otoczyło nas radosne ciepło tropikalne. Tu, w nizinie przymorskiej, między górami a morzem, rozpanoszyła się tak bogata i co ważniejsze tak przepiękna rolność, że oko ludzkie w końcu nie wiedziało, co wprawdzie podziwiać, i upijało się tym zielonym winem. Nie była to dzika puszcza nieprzebrana, której gęszcz kłębił się na pobliskich stokach górskich i w wśwozach, ale tam nigdy nie docieraliśmy. Natomiast w nizinie morretańskiej przemykaliśmy polując wśród błogich gajów. Królowały tu przeróżne palmy, zdumiewająco powabne, pieniały się kuszące kępy bambusów i były miejscami trawy tak wysokie jak nasza chata, w której mieszkaliśmy. I wszędzie przewiewały kwiaty, powodzie kwiatów. Czerwone amaryllis, liliowce, nigdzie nie rozsiewały takiego uroku jak tutaj.

Przybyliśmy tu w trójkę: Antoni Winiewski, młodociany Michał Budasz i ja. Rozgociliśmy się w pustym domu kolonisty Grundkiewicza, który w tym czasie przeniósł się do miasta. Było nam dobrze ze sobą i jedzenia mieliśmy pod dostatkiem. A jednocześnie z nami przyleciały tu, także do ciepła i do nieprzebranego żeru, chmary ptaków z wyżu parańskiego, i to właśnie one potęgowały wrażenie obfitości. Było ich nierzadko dużo. W naszej nizinie niosły się zewsząd ich zawadiackie krzyki i szczebioty, wszędzie lśniły bajeczne barwy tęczywanych tangarów i połyski kolibrów, a wysoko w powietrzu kwilące jastrzębie i sokoły zataczały zuchwałe kręgi.

MMi rięty się góry wysoko nad nami od zachodu i południa, poszarpane przepacistymi wśdołami, pokryte potężnś puszcześ, ojczyznś jaguara i okazałych orchidei. Ludzi tam ponoć nie było wcale, za to snuły się grone legendy dokoła każdego szczytu. Góry te co godzinę inaczej wyglśdały, a o zachodzie słońca pokrywały się szaleństwem barw. Od władczych stoków spływało piękno na dolinę, wprawiając ludzi w osłupienie.

Ludzie żyli w dolinie tu i ówdzie, jakkolwiek nie było ich wielu. Nieraz w myliwsldch wycieczkach nieoczekiwanie natrafialimy na ich nędznś chatę, ukrytś w gśszczu na brzegu ruczaju. Gdzie obole było małe pólko uprawne, żywiśce ich. Skromni ci ludzie, łagodni, uprzejmi kabokle, wydawali się nad wyraz szczęśliwi; do Morretes rzadko zagłśdali. Zaszyci w swej kniei, znosili z umiechem największe ubóstwo, jacy bardzo podobni do rohn. Ale to chyba złe porównanie: roliny tutejsze, bynajmniej nie ubogie, były prężne, pałajśce, waleczne, ludzie za cisi, stłumieni, jakby nie z tego wiata.

Dawnymi laty w nizinie musiało przebywać ich więcej. Los im widać nie sprzyjał i wypchnśł ich w inne strony. ciężki tych kabokli dawno zarosły dzikś kapoeirś, ich chaty, wchłonięte przez chaszczę, rozpadły się bez ladu. A przecież pozostał nieomylny dowód ich bytnoci: zasadzone przez nich drzewa owocowe nie szczęły. W ciśgu dziesiśtek lat samoistnie się pieniały i oto wszędzie, w naj-ustronniejszych ostępach niziny, znajdowalimy hojne knieje, uginajśce się pod brzemieniem owoców. Oto spod szerokich lici złociły się pęki dojrzanych bananów, oto słodkie

Kapoeirś wtórna puszcza o pogmatwanych wysokich zielskach i krzewach.

pomarańcze oblepiały całe drzewa, a opodal ziemię zacielały setki zdziczałych, acz smacznych ananasów.

Z Winiewskim przedzierałem się nieraz kilometrami bez końca przez rozwichrzoną rozrzutność bezpańskich sadów. Łatwo nam było wtedy puszczać wodze wyobraźni i dumać nad kolejami ludzi, którzy tu żyli, a odchodząc, zostawili za sobą obfitość owoców; łatwo także było rozpamiętywać obłąkaną urodzajność tutejszej przyrody. Ale potem zapadalimy w milczenie. Rozglądaliśmy się wzrokiem pełnym zdumienia i podziwu i nagle wydało nam się, że to nie dolina morretańska nas otacza, lecz jakiś szczęśliwy zakątek biblijnego raju. Mnogość owoców mściła wszelką miarę rzeczywistości.

Patrzeć, a za chwilę rozstąpi się krzewy i wyjdzie królewna z bajki! umiechnął się kiedy Winiewski.

Trudno opisać nasze osłupienie, gdy po tych jego słowach ruszyło się coś w pobliskich zarolach: jakiś kształt ludzki czy zwierzęcy. Ledwo nam serca nie stanęły, bo zdawało się, że w nieziemskiej dobie wszystko było możliwe. Nie to nie była królewna, lecz ciemnolicy, kudłaty kabokło. Wyszedł z gęszczy, oniemiał na widok dwóch uzbrojonych dryblasów, poznał nas, zmieszał się okrutnie, powitał grzecznie i umiechnięty przepadł tam, skąd przyszedł.

Wnet przyjechało do nas młode małżeństwo Kietlińskich i zamieszkało razem z nami w chacie, potęgując jeszcze nastrój osobliwoci. Obydwoje byli urodziwi i pełni fantazji. On nieposkromiony marzyciel, pełen pięknych wizji i żądzy przygód, ona wierna mu we wszystkim towarzysza. Obydwoje na zabój rozkochani w puszczy ser-radomarskiej, zbudowali sobie chatynkę na jakimś romantycznym stoku nad malowniczą doliną i błogo tam

żyli. On czasem pozostawiał już w puszczy ze strzelbą i siekierką i wędrował na kilka tygodni do Kurytyby, ażeby układaniem parkietów w bogatych, domach zarobić co nieco grosza i wrócić z zapasami na swoją pustelnię.

Co najciekawsze, nie byli to postrzeleni dziwacy ani bałwochwalcy samotności. Wiedli szalenie, to prawda, ale mądry żywot. Pałając szlachetną namiętnością do wielu rzeczy, widzieli świat we właściwych wymiarach, mieli oczy otwarte i badawcze. Jak rzadko kto, doskonale poznali tajniki puszczy. On przy tym wietnie umiał opowiadać o wszystkim, co tak wnikliwie spostrzegał i głęboko kochał. Miał wielki dar obrazowania, a słuchając wieczorną godziną jego słów, wdzieraliśmy się za nim w tajemnice otaczającego nas gęszczy. Wiódł nas Kietliński, zagorzały czarodziej, jakby nad brzeg olniewającej feerii i czulimy się jak upojeni wśród pijanej przyrody.

Przyroda nie była tu trzewa.

Którego poranku wyruszyłem sam na polowanie. Po drodze odkryłem nie zauważony dotychczas las cudownych palm assai i piewno zrobiło mi się na duszy. Potem obuchałem się pachnącymi owocami guajaby, kształtem przypominającymi nasze jabłka papierówki, lecz o różowym, miękkim miąższu, smacznym niby pokarm bogów. Idąc dalej stanłem na brzegu gęstwiny przed rozległą łąką i zagapiłem się na liczny jak zwykle krajobraz. Byliśmy, co nam często się zdarzało i z czego miałimy się głono, Winiewski i ja w podniosłym nastroju dostrzegania piścej Królowy.

Nagle w pobliżu zauważyłem jakie poruszające się w niskiej trawie zwierzętko. W małym zagłębieniu bruzdy sunęło powoli naprzód w niewielkich podskokach i wtedy widziałem je na chwilę. Zapewne większa mysz czy szczur

leny, cenny może okazać dla naszych zbiorów. Ale przepojony sielankowo-ciś otoczenia, nie chciałem go zabijać. Nawet strzelby nie zdjąłem z ramienia i starałem się myśleć o czym innym, bardziej nęcącym niż zabijanie.

Gdy po chwili spojrzałem w tym kierunku, zwierzę oddaliło się o kilka kroków, od czasu do czasu czyniąc swe niezdarne podskoki. Szczur, stokroć zwawszy, chyba nie byłby tak niedołążny, więc cóż to za stworzenie, do diaska, wodził mnie za nos? Chcąc przyjrzeć się bliżej, wzięłem strzelbę do garci i zacząłem ostrożnie się skradać. Podszedłszy na odległość pięciu, szcziuk kroków, ujrzałem, jak zwierzę znów niezgrabnie podskoczyło i zapadając o ćwierć kroku dalej w suchą trawę, która jeno zaszeleciała, zginęło mi ponownie z oczu. Dziwne zwierzę. Ni to ssak, ni ptak, raczej jakaś pokraczna, czarna jaszczurka, okaleczona i bez ogona.

Przystąpiłem jeszcze bliżej. Małe lichy znowu się poderwało i skoczyło na ogołoconą ziemię. Wtedy po-

ryba, ni

rzeczywista ryba!

nawet

mnie sen aż tai dziwny?

gmatało, że ogarnął

Mika.

mu

reroki

^, pewnie uJLI^^ Łoczne, przeobrażone w siL ciernie do^^owal, do poruszania sie ^

zanśl wesoło, nie

, g mKkl Z WodŹ> P°ply

:dn;rmejrgozmcczenianishbt'

Ź-

PO

i ryb,

me przypuszczałem, żeby mieszkanki *żyły aż tak daleko n ldT^p>*

tańskiej to pra m, pobieglL ryba ^

o

wiec za-

Po tym szczęśliwym dniu spotkaliśmy na błoniach mor retkańskich jeszcze kilka sumiastych pielgrzymów. Jakkol wiek nie wzbudzały już nadmiernych uniesień, przecież

zawsze przejmowały nas podziwem dla rozpasanej przyrody Tu w tej płodnej dolinie rzeczywistość dziwacznie zacierała swe realne kontury i przebywalimy powtarzam w pobliżu jakiej niedorzecznej, urzekającej bajki.

Miku, udany synal puszczy brazylijskiej, przybył ze mną do Polski i zdobył sobie w naszej rodzinie prawo członka. Prawda, że Miku był małpką-kapucynką, ale małpką nie było jakś, małpką o gębie prawie że ludzkiej i ludzkich nałogach. Był podobno bardzo ładny. Gdy razu pewnego nazwałem go za karę brzydkim szympansem, wszyscy zaprotestowali i wsiedli na mnie z oburzeniem, jakbym ich samych dotknął. Bo Miku był najpiękniejszą na wiecie małpką. Weszło w zwyczaj, że znajomi i przyjaciele, wchodząc do domu, po przywitaniu się ze mną witali Mikusia. To napełniało go dumą i radością i gdy słyszał odgłos dzwonka w sieni, patrzył wyczekująco na drzwi.

Gdy go przywiozłem do Polski, był młodym, nie wyronionym jeszcze dzikuskiem. Obdarzony wyjątkowym darem spostrzegawczoci, poznał w krótkim czasie nawyknięcia otaczających go ludzi, ich upodobania i słabości i nauczył się grać na ich uczuciach jak stary aktor. Wystarczyło na przykład zwrócić ku niemu nagle twarz i spojrzeć zniechęca, by natychmiast wywołać przedziwną zmianę. Załamywał się w sobie, jedną łapkę przyciskał do piersi, drugą do brzucha, głowę zwieszał żaloniem na bok i patrzył wzrokiem błagalnym tak długo, dopóki nie dostał jakiego przysmaku. Później nabrał takiej wprawy, że przybierał postawę żebrzącego na samo odezwanie się: Mikusiu, pokaż, gdzie boli!

I Miku pokazywał dokładnie, jak mocno go bolało, tarמושć włochaty brzusek. Z biegiem czasu zaczęliśmy go mniej hojnie wynagradzać w obawie, że po prostu się przeje. Wtedy chytry gałgan uznał, że nie ma karesu bez interesu, i przestał nam stroić miny.

Apetyt miał znakomity i gdy mu zbyt długo nie dawano jeć, umiał domagać się bez ceregieli przeciśgłym wrzaskiem. Lubił ziemniaki gotowane i ciepłe mleko. Chuderlak w krótkim czasie na polskich ziemniakach nabrał brzuszka i swawolnego animuszu. Minęły czasy, gdy czuł się u nas zafu-kanym przybłędś. Wnet porósł w piórka i był z każdym za pan brat. Poznał swójś wartość i wyrabiał pocieszne figle. Był zwinny jak baletnica i ruchliwy jak rtęć.

Sypiał w jadalni w obszernej klatce, z której wypuszczaliśmy go za dnia, by mógł swobodnie igrać po pokoju. Wtedy swym przyjaciółom skakał na głowy i bawił się ich włosami. Do klatki wracał niechętnie, trzeba go było gwałtem wciskać. Za każdym razem czuł się pokrzywdzony, gryzł dotkliwie i wymyłał, na czym wiat stoi.

Poznalimy jego słowniczek. Wiedzielimy, w jaki sposób wyrażał głosem różne uczucia, kiedy prosił, kiedy był gniewny, kiedy wciekły, a kiedy zadowolony. Umiał mieć się, bestia, tak żywiołowo, że w końcu zarazał i nas wesołociś i mimo woli miałimy się także. Gdy był w nastroju melancholijnym, nie lubił, by na niego patrzeć. Wtedy wobec zbliżajścego się człowieka potrzśsał głowś, jak gdyby chciał odepchnś spojrzzenia ludzkie.

Gdy pragnęlimy się zabawić jego kosztem, stawaliśmy przed nim i mlaskali przez chwilę językiem, proszć go, by robił to samo. Miku opierał się, starał się uwolnić od uroku, trzśśł głowś, wił się, jeżył czuprynkę, marszczył czoło. Na nic się jednak nie zdał upór. W Mikusiu zwycię-

żała w końcu małpia natura i biedak, chcąc nie chcąc, naladował mlaskanie. Zresztą był to jedyny wypadek krzywdzenia go: w tak niewinny sposób odpłacaliśmy się za to, że nicpoń stale nas tyranizował.

Służyło mu znakomite tchu, na psa urok! zdrowie. Gdy nastawały chłodniejsze dni wrzeniowe, dalimy mu do klatki kilka szmat i mśdrała w mig zrozumiał, o co chodzi. Szmaty użył na kołdry i od tego czasu przykrywał się na noc tak szczelnie, że ginął nam z oczu.

Czasem udawał strusia. Gdy kto na niego krzyknął, czego nerwy Mikusia stanowczo nie znosiły, chował się błyskawicznie pod szmaty i wierzył, że już go żadna zła wola ni urzeczenie nie dosięgnie. Trzeba było grzecznie prosić go słodkim głosem, by wyszedł z ukrycia. Tak to Miku wychowywał sobie ludzi.

Chociaż sam był uosobieniem karkołomnej zwawoci, nie lubił gwałtownych ruchów u ludzi. Chcąc zostać jego przyjacielem, należało zachować się godnie, poważnie i wyzbyć się wszelkich niespodzianych gestów.

Razu pewnego, rewidując szklanki i kieliszki na stole, Miku wypił trochę likieru i wstawił się. Zaczął łązić niby lunatyk i miał się idiotycznie do siebie samego. Ululany Miku położył się w klatce i zasnął błogo, a następnego dnia był już zupełnie zdrow. Od tego czasu, zasmakowawszy w alkoholu, lubił niestety zaglądać do kieliszka. Musielimy energicznie zwalczać jego bachusowe zapędy.

Z papugę Korš pozostawał w poprawnych stosunkach sąsiedzkich. Zwierzęta zachowywały wobec siebie życzliwą neutralność. Gdy wypuszczaliśmy Mikusia z klatki, pierwszy skok kierował pod siedzibę Kory, gdzie znajdował różne odpadki jej poprzednich biesiad. Okruszyny zjadał skrzętnie i z nerwowym popiechem złodzieja, któremu

depcš po piętach. W ogóle Mikusiowi kradzione smakowało bardziej niż własna porcja. Gdy jemu i Korze wydzielaliśmy po kawałku jabłka, uważał za wskazane, by papudze jabłko wyrwać. Podchodził do niej i z najniewinniejsz w wiecie minš zgrabnie wyciŝgał z jej dzioba przysmak. Kora dawniej na taki gwałt darła się jak wiedma. Póniej, nie majšc innego wyjcia, z łagodnym oporem zgadzała się na wszystko i z wyrozumieniem, godnym jej sędziwego wieku, patrzyła na swawolę smarkacza, wybaczajšc sympatycznemu mał-piszczonowi złe maniery. Albowiem Korę cechował pogodny spokój.

Chociaż nie zawsze. Niestety, niestety, pod koniec padziernika działy się rzeczy tak osobliwe, że aż wstyd o nich głono mówić. Padziernik odpowiada mniej więcej porze wiosennej w południowej Brazylii, więc Kora pomimo słoty na dworze poczuła w swych żyłach wiosnę. “W starym piecu diabeł rozpałał. Stare, poczciwe, gderliwe stworzenie nagle rozżarzało się na dobre i cały swój płomienny afekt o zgrozo! kierowało ku Mikusiowi.

Zaloty jej były rozpaczliwe i nie pozbawione komizmu. Gdy pojawiał się w jej pobliżu, ona, ocięzała zwykle staruszka, sunęła w lekkich podrygach ku niemu i zasypywała go ptasimi pieszczotami. Dziobem wodziła delikatnie po jego pysku lub skubała mu łapki. W ruchach roztańczonego ciała wyjawiała mu czułš przyjań, a głosem o nie słyszanej dotychczas miękkiej modulacji błagała, kusiła, pieciła, a czasem wybuchała.

Na dziwne zabiegi Kory patrzył Miku z zakłopotaniem i pewnie nie wiedzšc, jakie stanowisko zająšc wobec tej mieszej awantury, wołał udawać niewiniŝtko i nic nie widzieć. A może na dnie łobuzerskiej duszy natrzšsał się z poczciwej Kory? Licho go wie.

Że Miku nie był zupełnie obojętny na przyjań papugi, mieliśmy tego dowody. W owym czasie złagodniał i traktował Korę z większą niż zwykle życzliwością. Gdy kiedyś dostał jakiś przysmak, pobiegł zaraz do Kory i ku naszemu osłupieniu zaofiarował jej wspaniałomyślnie udział zakłski. Wyobrażam sobie, ile go kosztowało to samozaparcie. Przyjań przyjaniś, a łakomy Miku Mikusiem. Wyciągnęwszy ku Korze łapkę ze smakołykiem, nie mógł znieść tak bolesnego widoku i z odwróconą kurczowo głową patrzył w przeciwnym kierunku.

Kora na szczęście po kilku dniach ochłonęła z niezwykłych sentymentów i stała się znów zgrzybiała staruszką. Przez pewien czas znęcała się nad Mikusiem, dziobiła go dotkliwie, ale i to minęło. Od tego czasu żył w normalnych, życzliwych stosunkach.

Miku, lubo przyjanił się ze wszystkimi prawie ludmi, Bakę, córkę moją, darzył wyjątkowym przywiązaniem. Obydwoje byli dziećmi i rozumieli się znakomicie. Mieli wspólne zabawy i gdy Baka ustawiała z przejęciem klocki, Miku z nie mniejszym przejęciem je burzył. Najchętniej siadał jej na ramieniu lub na głowie i wtedy bawili się w konną jazdę, przy czym mierzny małpizyon przybierał wytworną minę jedca-dżentelmena. Gdy Miku co zbroił i starsi na niego krzyczeli, Baka brała go w obronę. O tym Miku bardzo dobrze wiedział i odwdzięczał jej się wymy-78

ślaniem najróżnorodniejszych zabaw, niewinnych psot i figli. Zachowywał się przy tym jak młody kotek, tylko znacznie był mędrzy i subtelniejszy.

Codziennie wieczorem około godziny ósmej trzeba było ich troje, to jest Bakę, Mikusia i Korę, gwałtem przynaglać do pójcia na spoczynek. Był to dla nich niemiły ; obowiązek, bo trójka była właśnie wtedy najwięcej rozigrana. Baka, zazdrośna o Mikusia, zamykała ?

go do klatki i ponadto

klatkę przykrywała kocem, przeznaczonym specjalnie dla ochrony na czas zimowy. Potem spokojna i przekonana, że Miku zasypiał, oddalała się do swej sypialni.

Atoli po małej chwili fałdy przykrycia rozchylały się i Miku ostrożnie badał teren. Sprawdziwszy, że Baki nie było, rozszerzał otwór i miał się do nas łobuzersko, jakby chciał powiedzieć: No, skoro dzieciak poszedł już spać, to teraz my, starsi, możemy się zabawić”.

Niestety, działało się często według woli oberwańca. Wypuszczaliśmy go jeszcze raz i my, starsi” zabawialiśmy się... Gdy kreliłem te słowa, podeszła do mnie Baka i spytała, o czym piszę.

O Mikusiu! odpowiedziałem.

O Mikusiu? z radosnego zdziwienia oczy jej aż zwilgotniały. To tatu pisze o tym, co on je?

A tak.

I o tym, że pije ciepłe mleczko?

I o tym, że pije mleczko, i w ogóle o wszystkim, co Miku robi, jak się bawi...

Wtedy Baka zarzuciła mi rączki na szyję, mocno cisnęła i szepcąc do ucha, poprosiła:

Tatusiu, ale nie pisz o tym, że Miku był dzi niegrzeczny i zrobił kupkę na stole...

Zgoda, Bako, nie będę o tym pisał! I nie napisałem.

Częć druga

W puszczy amazońskiej

Spowied j

Tak żyłem przez blisko rok w lesie brazylijskim, w otoczeniu ostronosów, mrówkojadów, jaszczurów i biszów de pe. Żyłem tak, jak się żyje w głębokiej puszczy tropikalnej, z daleka od cywilizacji. Słońce parzyło bolenie, okropne deszcze lały na głowę, ubranie rzadko kiedy wysychało, często nie było wiele do jedzenia w pustkowiu, powietrza brakowało w płucach. Pasożyty lęły się w ciełe i w tej wybijającej przepychem, rozkiełznanej przyrodzie kładł się na sercu ludzkim kamień bolesnej tęsknoty i zwštpienia. Tam pod zwrotnikiem człowiek chorował. Nie ma czego przemilczać: człowiek chorował od tej wrogiej obcoci, dręczszej jego duszę i ciało tak dojmujšco. Zdawało się, doć będzie miał opętanej egzotyki na całe życie.

Zdawałoby się...

A jednak już następnej jesieni okazało się, że nie miał doć. Polska jesień jest może przepiękna, lecz smutna i chmurna, a włanie w tym czasie słońce najjaniej wieciło nad Amazonkš. Gdy u nas licie opadały z drzew, puszcza nad Amazonkš szalała bogactwem. Tropikalna puszcza to niebezpieczna czarodziejka. Człowiek widział, że jej szaleństwo nie znało btoci, mogło sparzyć skrzydła i złamać. A jednak człowiek szedł jak ćma w ten płomień.

Człowiek sięgał po atlas i patrzył w niego urzeczony. Mapy i atlasy miały cudotwórcze właciwoci. Człowiek w polskiej jesieni roił sny co jesień coraz żarliwsze. Potem znajdował

jaki statek i płynął na nim poprzez morza do miasta Belem. w dalszym ciągu wędrówki poznawał wielką wodną arterię, wsłaniał swym ogromem Amazonkę. Potem wpływał do innej rzeki nazwijmy ją Ucayali i wdzierał się nią w górę na blisko dwa tysiące kilometrów, a w końcu lądował któregoś dnia na jej wyniosłym brzegu w Cumari. Miał z jednej strony rzekę głęboką i tajemniczą, z drugiej strony przepiękną puszcze, niezbadaną i nieskończoną, w Cumarii puszcza, która zwabiła go na ten koniec świata, jest wielką i niebezpieczną czarodziejską.

Tak oto któregoś dnia ziciły się marzenia młodości i wylądowałem w Cumarii nad Ucayali. Mieszkałem nad brzegiem rzeki w chacie z dzikiej trzemy cukrowej. Przychodzili do mnie ludzie osobliwi, Indianie z puszczy, Indianie z rzeki, Metysi i biali, którzy od wielu pokoleń nie widzieli Europy. Wszystko było tu obce i ludzkie, i rzeka i puszcza. Ale w tej puszczy żyli sympatyczni mieszkańcy: starzy, dobrzy, serdeczni znajomi: ostronosy, panter, mrówkojady. Żyli też nowi znajomi, których nie było w południowej Brazylii: leniwce, papugi, węże anakondy.

I znów, jak dawniej, w mej chacie ucayalskiej było pełno wszelkiego stworu. Przeważnie żyło to na wolności, pyszne łąziło dokąd domostwa i okolicę napełniało dononym wrzaskiem. Można było się nasłuchać i nadziwić. Było na co patrzeć..

Przywab ,LJa mnie tu puszcza tropikalna i już wiedziałem, że byłem nieuleczalnie chory na tę chorobę. Spostrzegłem nagle, że na szerokim świecie istniało tyle ciekawych wysp. Że był Celtęljeg^ Fernando Po, Timor i było Tahiti, a rzeka Setikpłynę: Ja na Nowej Gwinei. I wiedziałem, czym rozjarzyć w przyszłości szare godziny polskiej jesieni. Czytaniem map.

II

Mapy tak samo czarowały jak puszcze tropikalne. Takie już były objawy tej dziwnej choroby, że pewnie będzie mi trzeba zwiedzać w życiu różne wyspy i różne ustronia pod ciepłym słońcem i przyjanić się z ich zwierzętami.

A między Samoa a Borneo zajrzę zapewne do Kanady, gdzie rosły lasy pachnące i żył łoś, i skoczę chyba na Madagaskar, gdzie były lemury.

Z łośiem i z lemurem można się także zaprzyjanić.

Leniwiec

W Cumarii mieszkałem o sto kroków od rzeki Ucayali, w miejscu dziwnie ruchliwym: prawie co dzień z rzeki łądownali rozmaici wiołarze Indianie Czamowie, czasem Kampowie, czasem jaki biały fazender wstępował do naszej chaty, oglądali moje zwierzęta, gawędzili i potem odjeżdżali w dalszą drogę.

Pewnego dnia od dwóch dni wieciło znów słońce i rzeka opadała Dolores oderwała mnie od pracy nad preparowaniem ptaka okrzykiem zdziwienia:

Patrz, kto wylądował?!

Dolores była dwunastoletnią dziewczynką, wesołą Me-tyską z ojca Peruwiańczyka i matki Indianki. Pełna radoci życia i temperamentu, stała się od pewnego czasu zapaloną przyrodniczką i dzielnie mi pomagała. Razem ze mną preparowała ptaki i owady, chodziła na polowanie, karmiła mój zwierzyniec. A pracy było huk. Kilkadziesiąt żywych zwierząt to już menażeria co się zowie.

Kto wylądował? spytałem.

Maurotitto! odrzekła z odcieniem niepokoju. Rozumiałem jej niepokój. Maurotitto, dwudziestoletni

Metys z drugiej strony rzeki, chciał się przypodobać na gwałt dziewczynie i od pewnego czasu przewracał ku niej sentymentalnie oczy. Dolores wymiewała się z niego i niedawno przy jakiej sposobności podrapała mu tego gębę. Maurotitto obraził się.

Na domiar złego wiec o jego niefortunnej przygodzie rozniosła się lotem po okolicy.

A oto Maurotitto pojawił się nagle na naszym brzegu i po uwiśzaniu łodzi zwrócił kroki ku naszej chacie. Za sobš cišgnšł co na linie.

Gdy zbliżył się, stwierdziliśmy, że był to kudłaty zwierz wielkoci redniego psa, tak poczochrany, że nie sposób było go poznać. Puszczony na wolność, wcale nie starał się uciekać, lecz z ukrytš ku ziemi głowš kołysał się niezdarnie jak pijany.

Chwyć go za plecy i podnie do góry! zawołałem do Maurotitta.

Teraz dopiero poznaliśmy zwierzka: pysk ze wszystkich pysków na wiecie najbardziej dobroduszny, o bezustannym, rozbrajajšcym umiechu i najpoczciwszych lepiach to leniwiec. Kazałem chłopakowi potrzymać jeszcze chwilę zwierzaka: pobiegłem po aparat i sfotografowałem ich.

Fotografujesz dwie maskary: jednego leniwca i jednš małpę! zachichotała głono Dolores.

Maurotitto wciekły zažsdał pięciu soli* za leniwca, lecz dostał jednego; zgodził się, rzucił brutalnie zwierzę o ziemię i odszedł ze złoliwym umiechem.

Czego tak szczerzysz zęby? zapytała go zaintrygowana Dolores.

Jeszcze zobaczysz! odparł tajemniczo, z niedobrym błyskiem w oczach.

Tak nabyłem najosobliwszego w lasach amazońskich mieszkańca.

Ależ to mieszna sztuka! W porównaniu z leniwcem każdy żółw mógłby ubiegać się o tytuł ršczego szybko-
szybkobie-

Soi moneta peruwiańska.

gacza. Jeden jego krok trwał nieskończenie długo, tak długo, że pokraka, którego przyroda bynajmniej nie wyposażyła w błyskotliwą inteligencję, zapominał widocznie w czasie tego kroku o celu swej wędrówki i popadał w długie zamylenie, czy należy wykonać następny krok. Nie wykonywał go, bo teraz była kolej na inny ruch: trzeba było głowę z prawej strony odwrócić na lewą. Zabierało to sporo czasu i wymagało olbrzymiego wysiłku. A potem należało przymrużyć jedno oko: ileż w tym było wytężenia!

Istnienie w puszczy amazońskiej melancholijnego fle-gmatyka było zdumiewającym absurdem przyrody. Gorąca knieja wrzała porywczym życiem, kipiała tropikalnym tętnem. Wyrazem jej był błyskawiczny lot kolibra i zwycięski skok jaguara, a odwiecznym prawem wycięg rozrodczości i nienasycenie głodu. W tym kłębowisku żywotności biedolił się jak uosobienie zupełnej bezbronności i niedołęstwa potulny, szczerbaty leniwiec. Gdy sąsiadujące z nim zwierzęta zawzięcie się zwalczały, wyostrając sobie zmysły i rozwijając swe zdolności do walki, on nie dowidział, nie dosłyszał, tracił już pamięć i nie zwalczał nikogo. Jemu nawet krew, jak to stwierdziła nauka, syczyła się powoli, a serce skarłało; dziwnie małe serce miał leniwiec.

Jedną jedyną przewagę miał nad otoczeniem, jedyną broń najnajbiedniejszych istot: wietną barwę ochronną. To tylko ratowało go od zupełnej zagłady. Ciało jego obrastały długie kędziory, ludzsko podobne do trawy. Leniwiec całe swe życie spędza na drzewie, żywi się jedynie lićmi.

Gdy wisiał na gałęzi, przyczepiony do niej długimi pazurami wisiał, bo nieszczęsnego półgłówka nie ominął i ten los, że żyć musiał do góry nogami wtedy nie dało się odróżnić nieruchawego cielska od kępy trawy. W lesie amazoń-

skim, w którym pełno jest na drzewach naroli, trawsk i innych epifitów, niełatwo dostrzegali go wrogowie.

A jednak leniwiec skazany był na zagładę jak jego kuzyni z tej samej rodziny szczerbaków: pancerniki i mrówkojady. Oongi tak, to były lepsze czasy! Protoplasci naszego pocziwca, grone olbrzymy wielometrowe, łąziły dumnie i zuchwale po ziemi, że aż dudniła. Lecz na dzisiejszym potomku wielkiego rodu ciżżyło przekleństwo zbyt długiego drzewa genealogicznego. W jego żyłach krew nie chciała już krżżyć należycie. Nie doć tego: w sierci jego zagniedził się pewien pasożytniczy gatunek mola, jak gdyby to była sierć muzealnego już przedmiotu.

Pojawienie się leniwca w moim zwierzyńcu zaintrygowało przede wszystkim tukana. Była to też groteska tych krain, oswojone ptaszysko o gigantycznym dziobie, dłuższym niż połowa jego ciała. Bezczelne, wcibskie indywidum nie znało poszanowania dla żadnych rzeczy ani istot i wszędzie wkładało swój nos. Zaraz pierwszego dnia tukan siadł na plecach leniwca i zaczął tarmosić dla zabawy jego kłaki. Zwierz po długiej chwili namysłu odwrócił powoli pysk w stronę intruza. Trwało to parę minut. Wykręcił przy tym głowę o całe pół koła, aż ponad własny kręgosłup. Potem zamknął i otworzył oczy, jak gdyby zdziwiony niecodzienną zjawą. W końcu wymierzył cios. To znaczy, że do jego prawej przedniej nogi wszczało się powoli życie, noga się podnosiła i uroczyście zataczała półkole. Gdy wreszcie po kilkudziesięciu sekundach dotarła do celu, naiwne oczy leniwca napęłniły się wyrazem niedowierzania, że tukan zdążył uciec. Po czym zawiedziona noga, ociągając się, powróciła na swe dawne miejsce. W tym położeniu zwierz

Epifity roliny bytujące na innych rolinach, ale nie będące pasożytami.

zamarł w bezruchu na pół godziny z tępym, dobrodusznym umiechem smutnego błazna na wargach.

Trzymaliśmy go na werandzie naszej chaty. Po kilku godzinach w jego mrocznej duszy zamigotał odruch myśli, że był w niewoli. ciśgnął z siebie więzy i wspisał się powoli na dach. Czekał tam do wieczora i potem rzucił się do ucieczki. Do północy trwało schodzenie na ziemię, lecz następnie bezltoni ludzie przerwali jego niedołączny sen o wolności i nałożyli mu silniejsze liany. Ze smutnego pyska nie schodził łagodny, dobrotliwy umiech.

On jest chory i ma gorączkę! stwierdziła następnego dnia Dolores.

W istocie leniwiec nic nie jadł, natomiast często pił wodę. Było to wyranie przeciw jego naturze, gdyż zwierz na swobodzie nie pił nigdy wody, a za napój służyła mu tylko rosa na liciach.

Jak uważasz? Czy będzie żył? spytałem Dolores. Dziewczyna miała niezawodny instynkt leny.

Nie. Zdechnie! odpowiedziała.

Kazałem mu dać tartej kukurydzy ugotowanej na rzadkš papkę. Z początku wydawało się, że mu to smakuje. Ale już po kilku dniach nie przyjmował żadnego pokarmu. Chciał tylko pić. Ruchy jego stawały się coraz ociężalsze, pysk coraz smutniejszy, umiech coraz potulniejszy. Póniej już się wcale nie ruszał. Nawet wodę do picia trzeba było przytykać mu do pyska. Siedział stale w kuchni jak pochylony posšg Buddy, przygarbiony do przodu, obraz bezdenne przygnębia.

Postanowiłem pucić go na wolność widžc, że u nas się nie uchowa. Przeciśłem mu więzy i poszturchiwałem, by uciekł do lasu. Lecz nie mógł. Już nie stać go było na ucieczkę. Siedział nieruchomo przez długie dni, wzruszajšcy swš

pokornš bezbronnociš. Czasem poruszał wargami i wcišž | się bezmylnie umiechał.

Aż pewnego dnia rano, gdy w pobliskiej puszczy ptaki \ wypiewywały chwałę wschodžcemu słońcu, leniwiec pochylał się i osunšł bezwładnie. Oddychał ciężko, lina to-! czyła mu się z pyska. Potem przestał oddychać. mierć! wykrzywiła mu połowę pyska grymasem, ale druga połowa nadal się umiechała dobrodusznie.

Metysowi Pedrowi, mojemu peruwiańskiemu preparatorowi, kazałem cišgnąć z niego skórę, by włšczyć jš do zbiorów. Podczas cišgania sensacyjne odkrycie. Na plecach leniwca była ropiejšca rana od postrzału z broni palnej. Kto do niego kiedy strzeł i okropnie zranił. Biedny zwierz męczył się przez kilka tygodni. Pod pokrywš gęstej sierci trudno było odkryć fatalnš ranę.

Znaleliśmy nie tylko przyczynę jego mierci i cišgłego pragnienia, lecz teraz zrozumieliśmy również złoliwy u-miech Maurotitta, gdy sprzedawał mi skazane na mierć zwierzę. Chłopak mcił się w ten sposób za nieudane zalecanki do Dolores.

Trzeba było trafu, że następnego dnia odwiedził nas Maurotitto. Chciał widocznie przekonać się o

łosach leniwca.

Dolores jak furia skoczyła do niego i zanim się spostrzegł, wymierzyła mu twardš pištkš trzy siarczyste policzki. Potem zasłoniłimy jš przed odwetem chłopaka i kazali mu czym prędzej się wynosić, dopóki był cały. Zrozumiał.

Dzielną moją dziewczyną wietnie się spisała! zawołałem. Cieszy mnie, że pomciła męczarnie biednego leniwca! ...

Czarne oczy Dolores jeszcze wcišž błyszczą wojowni-

czym ogniem. Pier jej szybko falowała, brązowa buzia jeszcze się nie wypogodziła ze wzruszenia.

Głupstwo! odrzekła. Wcale nie chodziło mi o leniwca. Wyłukłam go dlatego, że taki podły Indianin miał oszukać ciebie, białego! ...

Tak więc poczciwy, umiechnięty, tragiczny flegmatyk leny rozpętał w końcu burzę. Tak gwałtowną burzę, że Dolores na mierć zapomniała, iż jest także sama na wpół Indianką.

Przyjań tapirka

Nastał sędny dzień w puszczy ucayalskiej. Rozległo się wciękłe ujadanie psów, goniących zapamiętałe za wytropionym tapirem-maciorś i jej tegorocznym warchlakiem. Za psami przedzierali się myliwi. Gdy stary tapir dopadł brzegu rzeki, ustało dla niego niebezpieczeństwo: jako znakomity pływak mógł łatwo ująć pogoni. Lecz w tej chwili posłyszał za sobą rozpaczliwy kwik młodego tapirka nie mogącego podszyc na swych słabych nogach i bez namysłu zawrócił. Miłość macierzyńska zawiodła matkę pod lufy odwiecznego wroga. Padła przeszyta kulami. A warchlaka, pokłsanego przez ogary, ledwo żywego ze strachu, złapano, wpakowano do worka i zabrano do domu.

Tapirek dostał się do niezłych ludzi, lecz w puszczy mało i było czasu na zajmowanie się takim maleństwem. Wpuścił go do zagrody, dano mu wody do picia i rzucono banany. Ale to nie starczyło. Przez całe dni i noce płakał na swój sposób i wołał żalnym głosem, ażeby nau zwróciła matkę. W nocy było mu bardzo chłodno, brakowało ciepła matczynego ciała. Z dnia na dzień coraz bardziej mizerniał.

Gdy tapirka w dwa tygodnie po złapaniu przyniesiono mi do domu, przedstawiał obraz ostatniej nędzy. Widać było, że już nie chce mu się żyć. Natychmiast zalałem lizo-lem rany na nogach, zadane mu przez psy, i wypędziłem z nich mnóstwo obrzydliwych robaków. Potem wygładziłem

řęķš rozczočranš sierć. Miał pięknęwłosy, tak jedwabiste i miękkie, że przyjemnie było ich dotykać. Podczas głaskania tapirek stał jak nieczuły, obrażony głaz, z nosem zwieszonym na kwintę, owym miesznym, wydłużonym nochalem, któremu zawdzięczał przydomek amerykańskiego słonia. Małe, poczciwe oczęta, wlepione smutnie w kšt, zdawały się mówić do mnie: Człowieku, na co to wszystko? Daj mi już więty spokój. Chcę umrzeć I”

Ale zamiast spokoju dałem mu miskę mleka z cukrem.

Widok ten rak go nie poruszył. Więc przyłożyłem nos do mleka i wtedy mu zapachniało. Wypił całš zawartoć miski, Po cJZym głono i ze szczerym zadowolemem odsapnł sobie o-d serca. Zaprowadziłem go do kuchni

dałem do niego po godzinie, leżał pod piecem Ja.ł -e na ciepłym klepisku Teraz już nie chciał ^.
Pogłaskałem go, a on zaczął mi hzac rękę. Rozpoczęła się nasza przyjań.

Tapir miał około trzech miesięcy i był wielkoci półroc-neeo prosila. Zbyt wielka, dziecięca głowa ze zwisajšcym nosem sprawiała trochę konuczne; wrażenie, tak samo jak zbyt długiee, niezgrabne nogi. Sierć koloru ciemnobršzowe-SO miała P.o bokach cztery żółtawe pręgi młodoci. Pręgi te zginš, gdy młodzian wyronie i nabędzie twardej, cieniem-Tapir z rodu nieparzystokopytnych, należał do największych swi^zšt puszczy południowoamerykańskiej i docho-Zł doToU-w silnego o*. majšc tylko krótsze niż kła-pouch noegi- %ł ” głębokich, wilgotnych lasach nad brze-Cf rzek i jezior i tam znajdował swój ulubiony żer, ro-f. błoto e. W niebezpieczeństwie zawsze uciekał do wody; rfywaH nurkował wietnie jak wydra. Tapir ma smaczne mieTo i ^ytecnš dla człowieka skórę. Podzielał smutny los Indiana: gdzie biały człowiek nastawał, tam bezape-lacvinie ^mšł tapir.

Po kilSu dniach wywišzała się między nami niebywała zażyłość Miałem już wiele zwierzšt oswojonych, lecz rzadko kiedy zdobyłem sobie tak wzruszajšce przywišzanie jak u młodej tapirka. Rychło zauważyłem, czego mu brako-waTo i wielkš troskliwociš starałem się zastšpić mu ciepło matki tf dało się. Spoily Bas różne serdeczne więzy. A za-pies.zczotuwe, ludzkie, dobre słowo, szeptane do ma-96

łego ucha; były gotowane bataty i smażone, słodkie banany, smakołyki nad smakołykami; było z przybywajšcego z Iquitos parowczyka mleko skondensowane w puszkach, trunek boski; i była przejmujšca, nie znana dotychczas rozkosz i pieszczota, gdy ludzkie palce iskały wełnišš sierć na karku albo pod brzuchem; tak anielskš przyjemnociš nie darzyła go nawet rodzona matka.

Niebawem objawiły się skutki tych zabiegów. Tapirek wyzdrowiał, poweselał, wyprzystojniał. Nabrzmał mu brzusek. W kuchni zaczął gorliwie szperać w odpadkach, kucharce Mulatce plštać się pod nogami. Gdy pojawiałem się w pobliżu, biegł ochoczo do mnie, lizał mi kamasze i wszędzie towarzyszył przy nodze. Miał swojš własnš mowę, wyrażajšcš się w słowie: Hi” niby to gwizdem, niby piskiem. Nauczyłem się tego języka i jego akcentów. W końcu mogliśmy więc ze sobš prawdziwš, choć prostš rozmowę i rzucać sobie tym hi”! pytania, sygnały i odpowiedzi. Rozumielimy się znakomicie i można było przysiśc, że wielkiej naszej przyjani nic nie zdoła rozerwać.

L

A jednak stało się inaczej. Stał między nami kto trzeci, ów osławiony, przeklęty trzeci, uwodziciel i burzyciel przyjani, zły duch i szwarczarakter stanęła między nami kapiwara.

Była to także jedna z członkiń mego zwierzyńca. Bywał-czyni szerokiego wiata, przyjechała ze mną parowcem z samego Iquitos, więc wiele już widziała i dowiadczyła. Nikt by nie przypuszczał, patrząc na jej głupkowaty pysk gryzonia (ale gryzonia największego na wiecie!), że w duszy jej będzie tyle przekory i przebiegłości. Z budowy ciała i głowy wyglądała jak morska winka, tylko dziesięć razy większa. Lubiła ponad wszystko trzy rzeczy: zielone banany, wolność i błoto. Pierwszego dnia, gdy ją dostałem, obwiślałem ją w skomplikowane sznury; w nocy dziwnie łatwo się wyswobodziła i chociaż mogła uciec, nie uciekła. Okazała mi wiele zaufania i dlatego starałem się odtąd uwzględniać według możności i jieżwykłe jej kaprysy.

Pęta i płoty dla niej nie istniały. Z pęt, chociażby najmocniejszych, uwalniała swe tłuste cielsko z maestriś cyrkowca. Wiedziona niepohamowanś żśdżś wolności, od czasu do czasu uciekała, znikając na kilka godzin w lasach cuma-ryjskich. Potem wracała. Była bardzo oswojona, lecz niesforna i robiła to tylko, co jej się podobało. Trzymałem ją przy sobie właściwie jedynie dobrymżywieniem, nie chcąc zamknąć jej w skrzyni, w której by wnet zmarniała.

Gdy tapirek ją ujrział, przeszyło go jak gdyby olnienie. Podskoczył do niej, obwśchał i w przyplwywie zwykłej u niego wylewności zaczął ją przyjanie oblizywać. Lecz kapiwara nie podzielała jego radoci. Spode łba patrzyła na tę niecodziennś tkliwość i niczym się nie odwzajemniała. Nieokrzesany gbur! Od tego czasu obydwójce pozostali razem w ogrodzie pod gołym niebem.

as

I od tego czasu, niestety, przyjań nasza, tapirka i moja, nie była już tym, czym dotychczas. Bogowie wiedźś, co tego bęcwała urzekło i ciśgnęło do opryskliwego gryzonia. I co w nim widział miłego? Kapiwara go oczarowała. Starsza od niego wiekiem i dowiadczeniem, wywierała na niego wpływ nieograniczony. Tapirek patrzył w nią jak w słońce, jak w bożyszcze, i postępował za nią cień w cień jak niewolnik oddany na miarę i życie.

Nie powiem, żeby tapirek o mnie zupełnie zapomniał. Lecz gdy dawniej na mój widok rwał ku mnie radonie jak z kopyta, teraz potrzeba było dwu-i trzykrotnego hasła: „Hi”, by w ogóle zwrócić na siebie uwagę. Owszem, lubił, gdy pieciłem go głaskając głowę lub iskając mu sierć pod gardłem. Kładł się wtedy brzuchem do góry, wywracał lepią i pokazywał białka. Lecz po skończonym obrzędzie przyjani

szybko wstawał, otrzśsał się i biegł najkrótszś drogś do swej gburowatej przyjaciółki, triumfującej kapiwary.

I gdyby przynajmniej nieszczęsne przywiśzanie jego zyskało mu wzajemność. Gdzież tam! Bywało często, że gdy przynosiłem im dwie porcje mleka, kapiwara żłopała swójś miskę z diabelnym

popiechem, a potem brutalnym uderzeniem odrzuciła tapirka i wypijała jego mleko. A poczciwy tapirek czego miłość nie wybaczy? za to jeszcze oblizywał jej szyję.

Dowiadczeni ludzie ostrzegli mnie, że to się le skończy, że niespokojny gryzoń wywabi pewnego dnia tapirka w las i tam na zawsze pozostanš. Radzili, żeby ich wsadzić do i klatki. Oczywiście byłby to niezawodny sposób przytrzymania ich. Lecz ambicja kazała mi wišzać tapirka tylko przyjaniš, niczym innym. O kapiwarę mniejsza, pal jš szeć!

Przedsiębrałem wszystkie rodki, ażeby nie ponieć kłę-

, ski. Otaczałem pupilka coraz większš troskliwociš, wyszu—

I kiwałem najśłodsze banany, karmiłem coraz gęstszym mle-

‘< kiem. Pod cianš rósł pokany stos blaszanek po mleku,

Ś’ ofiarny stos naszej przyjani. Na te wysiłki patrzała z boku

kapiwara i kto wie, czy nie kpiła sobie ze mnie w duchu.

Czasem wydawało mi się, że miała szyderczš minę.

Rywalizacja weszła w stadium prawdziwej, bezustannej wojny, pełnej zawziętości i forteli. Zauważyłem, że rano kapiwara miała większy na niego wpływ niż ja, natomiast wieczory należały do mnie. Wtedy wśród chłodu zapadającej nocy ogarniała tapirka melancholia, więc zbliżał się do ludzi. Siadał pod stołem w czasie kolacji, lubił wyranie przysłuchiwać się rozmowie ludzi i gdy tak między ich nogami siedział, żadna zła siła niezdolna była go wywabić. Lecz walka stawała się dla mnie coraz trudniejsza. Po

prostu w grę wchodziły dwa najgłębsze instynkty wszystkich żywych istot: podczas gdy ja starałem się trzymać tapirka walorami statecznego żywota, ofiarowując mu dobre słowo i dosyt cielesny, kapiwara nęciła go poezją puszczy i cygańskim życiem na łonie natury. Ja dawałem mu tylko burżuazyjną wygodę i spokój, kapiwara romantykę, wielką przygodę, głębokie dreszcze i porywające odkrycia.

Którego dnia spadło nieszczęście. Ludzie dowiadczeni mieli jednak rację. Zwierzęta wyrwały sobie dziurę w płocie i w nocy uciekły. Sądziłem, że wrócę po kilku godzinach, jak to dawniej czyniła kapiwara. Nie wróciły. Zmobilizowałem całą okoliczną ludność i wyznaczyłem poważną nagrodę za znalezienie uciekinierów. Bez skutku. Pod koniec drugiego dnia doszedłem do przekonania, że Ucho wzięło moją przyjaźń z tapirką. Rozczarowanie, nie pierwsze w życiu i pewnie nie ostatnie. Wpływ kapiwary i zew puszczy okazały się silniejsze: zwyciężyły.

Trzeciego dnia zaalarmował mnie pewien Indianin Kam-pa wiadomością, że widział zwierzęta o kilometr od swej chaty w lesie. Chciał tapira złapać, ale zwierzę się nie dał. Był dziki i wciąż się wymykał. Pomagała mu w ucieczce kapiwara.

Co tchu pobiegłem na wskazane miejsce i już z daleka zacząłem nawoływać wspólnym naszym hasłem. Serce zabiło mi żywiej, gdy przyszła odpowiedź gdzieś z gószczy. Zwróciłem się w tym kierunku. Tapir odezwał się jeszcze raz.

Gdy mnie ujrzał, zerwał się do ucieczki i nieufnie wytrzeszczył ku mnie oczy. Przemawiając do niego jak naj-łagodniej, zacząłem zbliżać się powoli, krok w krok. Dwa dni przeżyte w puszczy dokonały swego: miałem przed sobą dzikie, czujne zwierzę, sprężone do ucieczki. Prawie nie poznawałem mego dawnego tapirka.

Wrecie dotarłem do niego. Wytrwał na miejscu. Drgnął, gdy go dotknąłem ręką. Wród gorących zakłęb zacząłem iskać jego skórkę pod gardłem i pod brzuchem. Wiedziałem, jak bardzo to lubił. Przymrużył powieki i pokazał białka oczu. Miliony komarów unosiły się dokoła nas, lecz pomimo tych tortur, nie wolno mi było wykonać najmniejszego nerwowego ruchu. Przez chwilę pomyślałem, czy nie lepiej złapać tapirka i zanieć go przemocš do domu. Nie. Zaniechałem tego. Miałem wcišž ambicję.

Wtem z daleka odezwał się głos kapiwary. Tapirek zerwał się jak zbudzony i zaczął bieć w kierunku głosu.

Nie uciekaj! krzyknąłem rozpaczliwie.

Stanął. Podeszedłem jeszcze raz do niego. Znów go dotknąłem. Nie uciekł. Wtedy, nie przestając prawić słodkich słówek, skierowałem kroki ku domowi. On także ruszył się i zaczął podšżać za mną. Nie chciałem się odwracać, lecz słyszałem za sobą jego człapanie. Potem dogonił mnie i szedł już blisko obok nogi.

Tak dotarlimy do skraju lasu, lecz przy wyjciu natknęlimy się na niespodziewaną przeszkodę: rozległe jezioro, powstałe od ostatnich deszczów. Tapir, zwiierz na pół wodny, wlaźł bez namysłu do wody. Cóż miałem zrobić? Zbyt ważna była chwila, by teraz opuszczać przyjaciela choćby na sekundę. Wszedłem do wody, sięgającej mi powyżej kolan. Przebrnęlimy.

Gdy zbliżalimy się do chaty i gdy kończył się ten pochód pełen trwogi i napięcia, spojrzałem na tapirka z wielkim wzruszeniem i wdzięcznościš: odzyskałem wiarę w naszą przyjań.

I on był wzruszony. Łaknął wyranie mojego głosu i prosił o dotyk ręki. Gdy podano mu miskę mleka, pił, jak gdyby był beczką bez dna, i przewracał oczami z wielkiej

luboci. Był po prostu wygłodniały jak ostatni wilk i wtedy zrozumiałem, że puszcza co prawda darzy swych miłoników przejmującymi dreszczami, lecz kiepsko ich karmi.

Następnego dnia przybyła kapiwara...

Wielkš mšdrociš jest umiar i zdolnoř ustępowania. Zrozumiałem, że w tej przyjani rolš mojš będzie odtšd dobroczynnoř samarytanina w stosunku do tapirka, który jak syn marnotrawny uciekać będzie po namiętne rozkosze do puszczy, lecz powróci do mnie po dobre, ludzkie słowo.

Była to rzetelna umowa i dobry targ, korzystny i życzliwy dla obydwu stron.

Chyba że kapiwara...

Trudno, kapiwara znów żyła w pobliżu, a ja byłem zbyt ambitny, by jš przepędzić na cztery wiatry.

Póniej, po wielu dniach idealnego można powiedzieć współżycia, zaczęły mnie nękać pewne wštpliwoci i wyrzuty sumienia. W tej pięknej przyjani ja byłem wszechpotężnš i decydujščš stronš, podczas gdy tapirek stawał się coraz bardziej zalepiony i uległy. Pomimo mej dobrej woli wyrastałem na jakiego dobrotliwego despotę, którym wcale nie chciałem być. Niedobrze jest czuć się w roli owego nierosšdnego rodzica, który z miłoci do syna zamyka przed nim szeroki, zły wiat. A tu niemal tak było.

Doszło więc do tak dziwaczego stanu, że zacząłem teraz zachęcać kapiwarę do porwania tapirka w lasy i zabrania go sobie na dobre. Jej nie było potrzeba podsuwać tego dwa razy, lecz on on teraz uparł się stanowczo. Nie chciał ić do lasu, między ludmi był szczęliwy. I tak powstał ze wszystkich problemów tej puszczy ucayalskiej chyba najcudaczniejszy: jak uwolnić się od zbyt wielkiej i wiernej przyjani lenego zwierzaka.

Przylatujš flamingi

Pomimo że obszerny był stół, przy którym pracowałem i robiłem preparaty, zalegał go wielki nieład tysiřca rzeczy. Rozpostarła się na nim Europa: naboje, proch, nożyce, skalpele, puszki, słoiki, strzykawki, pincety, szklanki z cyjankiem potasu, a przede wszystkim butelka z płynnym arsenikiem. Wszystko to narzędzia i przyrščdy przywieziono z Europy do zabijania, trucia, krajania i zakłuwania zwierzšt tutejszej puszczy. Stół wywierał wielkie wrażenie na wszystkich ludziach z okolicy. Podchodzili do niego biak”, Metysi i Indianie i patrzyli na niego jak urzeczeni.

Była godzina dziewiřta wieczorem. Przy wietle dwóch naftowych ogarków preparowałem od kilku godzin ptaki. Pozostało ich jeszcze kilka do ciřgnięcia skórek. Przez otwór okienny i ciany bambusowe mej chaty wdzierał się z dworu przenikliwy rechot żab tropikalnych i zawsze donony wist wierszczy.

Była sobota. Gospodarz mój urřdził baile, tańcówkę, w przyległej chacie. Z góry i z dołu rzeki spłynęli okoliczni hacjenderzy z żonami i z córkami. Gramofon wygrywał melodie tanga nie znane w

Europie. Tu, u stóp Andów, przemawiały więcej do rytmu krwi niż do ucha.

Gdy gramofon milkł, słyszałem oprócz żabich i wierszczowych nowe odgłosy z puszczy: dziwne, przejmujące trzębienie. Wyjanili mi tubylcy, że to flamingi węc-

dni jš pod niebem i że wnet opadnie rzeka, a potem będzie wiele ryb.

Stół, przy którym preparowałem, opanowały dwa rodzaje mrówek. Jedne były małe, napastliwe i bardzo liczne, drugie wielkie i mniej liczne. Te i tamte miały swe ustalone zwyczaje. Pojawiały się na stole tylko wtedy, gdy co preparowałem. Były żarłoczne i w cišgu nocy umiały roznieć mięso całego ptaka. Między sobą obydwa gatunki wiodły zacięte boje. Podczas bitwy owady wpadały w lepy szal i wówczas musiałem mieć się na baczności, ażeby mi ršk nie pokšsały. Nie sposób było ich wypędzić. Sšsiedzkie stosunki między wrogimi mrówkami i między nimi a mnš zwykle regulowałem w prosty sposób: każdemu rodzajowi kładłem na pożarcie w dwóch oddzielnych miejscach po jednym ptaku, z którego już zdarłem skórę. Wtedy nastawała ogólna zgoda i mogłem spokojnie pracować.

Włanie spreparowałem dzięcioła. Z czaszki jego wyjšłem mózg i odłożyłem na bok. Mózg to pewnie specjał mrówczy, bo niebawem kilkanacie mrówek z mniejszego gatunku rzuciło się na żer. W ich ludy przysły dwie większe mrówki i nieroztropne zgotowały sobie smutny los. Jeszcze się zupełnie nie zbliżyły, gdy otoczyły je wojownicze karzełki, napadajšc na nie z niepohamowanš zajadłościš. Jedna z napadniętych ratowała się panicznš ucieczkš. Druga nie zdšżyła. Obsiadły jš przeciwniczki i przemocš zatrzymały na miejscu. Daremnie szamotała się. Zdšżyła chwycić dwie nieprzyjaciółki w szczęki i rozgryć je. Lecz na tym skończyła się jej obrona. Przewaga liczebna zwyciężyła. Karły szybko odcięły jej nogi, odwłok odpiłowały od tułowia i potem całš zdobycz uprowadziły skrupulatnie pod stół.

“”ffIBB‘1””

Podobne ciche dramaty często zdarzały się na moim stole na ogół bez przykrych dla mnie następstw. Tym razem jednak małe mrówki rozsierdziły się na dobre i postanowiły rozejść się po całym stole w poszukiwaniu nowych wrogów. Szybкими uderzeniami pędzla, umaczanego w roz-czynie arszeniku, udało mi się powstrzymać wojownicze zapędy i w końcu zmusić je do odwrotu. Potem tym samym pędzlem przeciśgnęłam poprzez stół mokrą linię demarkacyjną. Tej nocy spokój był zapewniony. Przez granicę z arszeniku żaden czart nie przejdzie. Arszenik to wielkie tabu, uznane przez wszystkie stwory puszczy.

W czarnym oknie mej chaty pojawiła się głowa Cariosa. Carlos był kuraka, czyli wodzem Indian Kampów. Mieszkał w odległości kilku kilometrów od nas i przyjaśnił się z białymi ludmi. Z umiechem na swej pomarszczonej

r

Śmr

twarży pokazał mi cennš zdobycz, jakš przyniósł dla mnie:1 szeć olbrzymich owadów latarników, zwanych tu czicsarai maczako, żywych jeszcze i zwiśzanych cienkimi lianami.]

Wejd do chaty, Carlosie! zaprosilem go uradowany.1

Gdy wszedł, okazało się, że nie był sam. Przyprowadził” z sobš żonę i kilkoro dzieci. Wszyscy stanęli przy stole.

Cziczara maczako miała niesamowite kształty. Należała do rodziny pierwłków, lecz głowa jej inaczej urosła i utworzyła co w rodzaju tęgiego nosa, podobnego do głowy nosorożca. Z dolnej części owadziej głowy wyrastała długa rurka, przez którš cziczara przyjmowała pokarm, rolinne soki. Rurka ta napawała grozš całš ludnoć amazońskš, gdyż rzekomo zawierała tak straszliwy jad, że jej ukłucie wiodło człowieka niechybnie do gwałtownej mierci. Cziczara ma’ czako w mniemaniu tubylców to zła potęga lasów, ponury koszmar, napadajšcy złoliwie na ludzi, to zły duch, na którego nie było lekarstwa ani żadnej obrony. Owad podobno często przebywał na trujšcych palmach, żywišc się ich sokiem, i tym Indianie tłumaczyli sobie jego trujšce właciwoci.

Dziwaczny [owad wywołał takze w wiecie naukowym sporo zamieszania. Pierwsze przed trzema wiekami relacje o nim bajdurzyły fantastyczne wieci, jakoby owad posiadał wielkš zdolnoć wiecienia. Nazwano go dlatego latarnikiem i pod tš nazwš wszedł nawet do nomenklatury naukowej, chociaż dawno juź prawda wyszła na jaw i obaliła stare bzdury. Cziczara maczako nie wieciła.

Na wiadomoć o niezwykłych owadach tańczšcy w sšsiedniej chacie przerwali baile i wszyscy przybyli do mnie; aź dziw, że w małej chacie zmieciło się blisko czterdzieci osób. Naraz zrobił się wielki tłok: znaleli ludziska nowe ródło podniecenia na widok niebezpiecznych owadów, no-110

wš, ostrš przyprawę do rozhulanych zmysłów. To sprawiało ludziom przyjemnoć.

Ostrożnie uwalniałem z lian latarniki jednego po drugim i wrzuciałem do szklanki z cyjankiem potasu. Prawie się wcale nie broniły, jakie otumanione. Potem ludzie się rozeszli, aby dalej tańczyć: tańczyć będš do samego rana. Po nich opucił mnie Carlos z rodzinš. Dałem mu dwa nożyki jako zapłatę. Był ucieszony.

Obecnoć w mej chacie tylu rozgrzanych ludzi zbudziła żyworodnš muchę, pišcš gdzie w pobliżu. Błyszczšc metalicznie, zaczęła kršżyć dokoła wiatła, potem siadła na mózgu dzieciola i chodźc po nim niespokojnie, wycisnęła z odwłoka kilka białych robaczkowych gšsienic. Gšsienice natychmiast zabrały się do zjadania mózgu. Podobne muchy często odwiedzały mój stół. Nie lubilem ich: pojawiały się wtedy, gdy mięso moich ptaków zaczynało się psuć.

Niedawno temu schwycilem takš muchę i żywš zamknšłem do próbówki. Po kilku godzinach zniosła

cztery gšsienice. Wszystkie dotychczas żyły i znakomicie wyrosły, pomimo że do zamkniętej probówki nie włożyłem im żadnego pożywienia. Okazało się, że nieszczęsna matka co dzień rodziła nowe gšsienice, które natychmiast padały ofiarš starszych siostrzyc, słuŹąc im za pokarm. Tak w probówce stawał się prawie cud przyrody: krzewiło się i rozwijało życie bez pożywienia z zewnštrz. Była tylko twórcza, cudowna siła w zapłodnionym odwłoku matki-muchy, rozpędzona machina niezmiernego płodzenia.

Muchę, która usiadła na mózgu dziecięcia, odpędziłem, a mózg i gšsienice na nim zatrąłem jednym pocišgnięciem pędzla z arsenikiem. Powtarzam, arsenik to wielkie tabu, to moja nieprzeparta broń, przy której pomocy umierałem konflikty i rozwišywałem zagadnienia puszczy.

Czy wszystkie zagadnienia puszczy?

Skończyłem włanie pracę. Było po północy. Położyłem się na łóŹku i zacišgnšłem nad sobš moskiter przeciw komarom. Starąłem się zasnąć. Trudno, nie mogłem.

Wcišż słyŹałem flamingi. Cišgnęły wysoko na niebie niewidzialnymi sznurami i tylko dochodziło uszu ich uporczywe tršbienie. Ludzie doliny ucayalskiej witali przelot z o-chocžš nadziejš jako zapowied obfitoci ryb. Lecz ja ryb łowić nie będę. Tryumfalne tršbienie flamingów napełniało mnie bolesnym niepokojem. Rodziły się palšce tęsknoty. Nie mogłem tej nocy spać. Pewnie zbyt blisko był równik i zbyt parne unosiło się w dolinie powietrze.

Puls bił w skroniach przyspieszonym tętnem. Na to nie było w tropikalnej puszczy lekarstwa i nie pomagały żadne arseniki. Goršce noce nad Ucayali spędzały sen z powiek białego człowieka.

Anakonda

Cumaria przeżywała chwile niemałego podniecenia i trwogi: w pobliŹu hacjendy Dolciego pojawił się olbrzymi wšŹ anakonda i dawał się przykro we znaki. DrapieŹny gad napadał za jasnego dnia, porywał kaczki i kury i znikał z błyskawicznš szybkości. Był zuchwały i krwiożerczy jak legendarny smok. Ludzie bali się go panicznie i z nieufnociš spoglšdali w krzewy i gšszcze. Matki nie wypuszczały dzieci na dwór.

Pewnego dnia napadł na wieprza. Wieprz rozpaczliwym kwikiem poruszył całš hacjendę.

Do broni! Do broni! grzmieli ludzie, jak wariaci pędzšc wród zabudowań. Echo ich okrzyków niosło się po puszczy, błoniu i rzece. Do broni! Kto żyw, kto może, do broni!...

Gdy w końcu wyruszyli, by podjšć natarcie, było juŹ za póno: wšŹ pucił zdobycz i umknšł do pobliskiego lasu. Z pewnociš nie oddalił się zbyt daleko, lecz obawiano się cigać go w kniei. Tam wród drzew wšŹ miał gronš przewagę nad ludmi.

W miejscu gdzie rzeka Binuja wpadała do Ucayali, niedaleko hacjendy Dolciego, wystawało z wody kilka wysepek pokrytych gęstš rolinnociš. Romantyczne to ustronie obfitowało w ptactwo i stanowiło wietny teren myliwski.

Pewnego poranku buszowaliśmy na łódce cichutko międyz wyspami, gdy towarzysz mój, preparator

Pedro, na—

8 Zwierzęta z lasu dziewiczego

gle jak rażony pochylił się i wskazując ręką na niewielką wyspę, oddalony o jakie sto kroków, szepnął podnieconym głosem:

On!

Po chwili i ja go ujrzałem. Leżał nad brzegiem wyspy na pół w wodzie, zwinięty, potwornie wielki kłęb wężowego cielska. Była to imponująca bestia, sprawiająca wrażenie, że to nie stwór dzisiejszy, lecz zbytek zamierzchłych epok. Potężne zwoje wiadczyły o niebywałej sile mięśni i mogły wywołać lęk nawet w najodważniejszym sercu. Wionęło od nich groźba wspaniałej przyrody.

Anakonda widocznie spał. Ażeby go nie spłoszyć, a bliżej pod płynąć, postanowiliśmy oddalić się cichaczem, potem okrążyć wyspę, zbliżyć się od tyłu wzdłuż jej brzegu i na bliską odległość wsadzić węzowi ładunek grubego rutu. Plan natychmiast wykonaliśmy, lecz jakże opisać nasze zdumienie, gdy wychylając się spoza wyspy stwierdziliśmy, że węża już nie było. Widocznie czujny gad nas zauważył i uciekł w głąb. Wyspa była bardzo mała, nie większa niż na pięćdziesiąt kroków, więc olbrzym musiał się zacząć tuż przy brzegu, niedaleko naszej łodzi. Czym prędzej odpłynęliśmy od niepewnego miejsca.

Kilkogodzinne czatowanie z daleka na nic się zdało: wąż nie wypełził.

W tydzień później przybiegł do mnie zdyszany Indianin z hacjendy Dolciego i zapytał, czy kupię żywego anakondę.

Anakondę? spytałem.

Tak.

Tego olbrzyma?

Tak, tego diabła! odrzekł i wyjanił, że wykryli go twardo piścego w polu trzciny cukrowej niedaleko hacjendy. Jeżeli chcę, to przyniosę mi go żywego.

Przyniecie! zawołałem, chociaż niezupełnie dowierzałem sprawie. Indianie i Metysi mieli fantazję.

Lecz myliłem się. Niebawem ujrzałem dziwny korowód. Kilku chłopca ciśnieło na linach po ziemi co w rodzaju tratwy, zbitej z desek, a na tej tratwie leżał pojmany gad. Dwóch silnych Metysów, każdy z innej strony, trzymało go uwiśzanego na długich lassach. Potwór rzucał z małych oczu wciekle spojrzenia. Chociaż skrepowany, wciśz jeszcze budził lęk i szacunek. Ludzie ostrożnie i z daleka go obchodzili.

Był to w istocie przepyszny okaz. Miał prawie pięć metrów długości i ważył co najmniej sto kilogramów, szeroki w porodku ciała jak udo tęgiego mężczyzny. Z ulgą odetchnęli ludzie na hacjendzie Dolciego.

Kazałem naprędce zbić odpowiedni skrzynię z grubych desek cedrowych i tam węża wtłoczyliśmy. Z początku był zupełnie spokojny. Dopiero gdy następnego dnia podjął pierwsze próby wyswobodzenia się, spostrzegliśmy z osłupieniem, jak niesłychanie silne i niebezpieczne było to zwierzę. Anakonda wsadził łeb w szparę między dwiema deskami i zaczął je wywierać i podnosić najspokojniej w wiecie z niespodziewaną łatwością. A równocześnie zaczęły wysuwać się z drewna trzycalowe gwodzie. Kilku uderzeniami kija spędziliśmy go do rodka, umacniając skrzynię dodatkowymi deskami. To poskutkowało.

Oczywiście zamierzałem zawieźć żywego do Polski tak pięknego węża i dlatego wpuciliśmy mu do klatki tłustego kurczaka na pożarcie. Tyle już kur upolował stary opryszek w hacjendzie Dolciego z narażeniem życia, że chyba zasłużył sobie teraz w niewoli na kurczaka emerytalnego. Alici jaki duch sielankowych paktów nieagresji wtargnął pewnie do skrzyni z wężem, gdyż stała się tam rzecz gro-

116

teskowa i zgoła gorszśca: mały kurczak zaprzyjanił się z olbrzymim anakondą. Dumny wż zlekceważył sobie smaczniejszą kąskę i nie myślał jej pożerać.

A kurczak, jak to kurczak. Zrazu miał potężnego stracha i krył się po kątach skrzyni. Potem nabrał odwagi, w końcu rozzuchwiał się pędrak. Doszło do tego, że sypiał zacisznie w zwojach swego odwiecznego wroga, dziobał bezczelnie jego skórę, łaził mu dosłownie po głowie. Gałgan bez czci dla wielkoci i wintuch bez wstydu zanieczyszczał go swoim plugawym kałem. A srogi anakonda nie myślał zjadać kurczaka. Aż przykro było patrzeć na jego cierpliwość i na takie upokorzenie olbrzyma.

Po trzech tygodniach tej koszmarnej sielanki doszliśmy do przekonania, że anakonda był zapewne beznadziejnie chory. Metysi Dolciego do niczego się nie przyznawali, lecz prawdopodobnie podczas chwytania uderzyli go drżgiem, łamiąc mu żebra lub kość pacierzową. Wż miał tak twarde życie, że skaleczony miertelnie, mógł żyć przez kilka miesięcy bez pożywienia i potem dopiero zdechnąć. Nie chcąc narażać się na dość poważne a ryzykowne koszty transportu, postanowiłem w końcu z ciężkim sercem zabić węża. Wywlekliśmy go na dziedziniec. Był to stwór bajecznie fotogeniczny, więc należało skorzystać z okazji i zrobić kilka ciekawych zdjęć. W czasie tych przygotowań anakonda zachowywał się apatycznie i wszędzie zabiegi znosił biernie. Schwyciłem go w pół ciała i z całych sił uniosłem, a on, trzymany z przodu i z tyłu na lassach, tylko słabo się bronił. Cyk! - zrobił w tej

chwili aparat fotograficzny.

Potem omielony jego ociężałości, zamierzałem dokonać najciekawszego zdjęcia, trzymając go za głowę przed aparatem. I wtedy spotkała mnie przygoda. W chwili gdy zbliżyłem ręce do szyi, wżnienacka poderwał energicz-118

, 'j > - - T ^ - .. T. _.,

i w mej lewej ręce. Prawą ręką chciałem rozerwać Mu pa- Ś<ŚŚ- szczę, lecz bestia jako szarpnęła i nagle uwięziła również i moją drugą rękę. Byłem unieruchomiony. Wyrwanie się z zaciniętej kurczowo paszczki było niemożliwe: wydarłbym sobie sporo mięsa z ręki.

Wytworzyła się gromada sytuacja. Ludzie, trzymający dotychczas węża, tak okropnie przestraszyli się jego zrywu, że potracili głowy i co najgorsze, pucili liny. Anakonda, przez nikogo nie powstrzymywany, mógł mnie opleść swym cielskiem. Przeszyło mnie przerażenie, że byłem zdany na łaskę potwora i jego muskularnych mięśni.

Un pało! Kłode! krzyknąłem co siły w piersi. Miałem nadzwyczajne szczęście. O dwa kroki ode mnie leżała przypadkiem na ziemi kłoda drzewa. Który z przytomniejszych Metyaków zrozumiał, o co chodziło. Przyskoczył, porwał drewno, wpakował je między szczęki anakondy i podważył. Szczęki rozwarły się, zęby wyszły z moich rąk. Byłem wolny. Dłonie spłynęły mi krwią. Odskokczyliśmy. Rozpaczliwy odruch węża nie uratował mu życia. Ludzie znowu schwycili go na linę i zaczęli go tłuc drągami. Wpadli w szal i bili, dopóki nie rozplatali mu głowy. Najchętniej rozdarliby go na kawały. Wszędzie długo wił się w straszliwych konwulsjach, zanim uległ przemocy ludzkiej. Po mierci anakondy wyszło dopiero na jaw, że nie był wcale chory, lecz tylko nażarty. W żołądku jego znaleziono resztki dzikiej wini. Nic dziwnego, że pogardził kurczakiem. Wyrok mierci na niego był jak nierzadko bywa z wyrokami ludzkimi nieporozumieniem.

Jednak miertć anakondy była poza tym koniecznością biologiczną. Wszędzie poniósł miertć, bo był nażarty. Pełny żołądek w przyrodzie często przykroci losu i czasem

mierć. Wsz zginął, bo przyjanił się z kurczakiem. Złamał prawidła obyczajności w przyrodzie. Wielki zwierz nie mie przyjanić się z byle jakim kurczakiem.

Ginśc anakonda pozostawił mi osobliwš spuciznę: sławę lokalnego bohatera. Sława rozniosła się po całym dorzeczu Ucayali i dotarła nawet do miasta Icpitos nad Amazonkš. W Icpitos gazeta umieciła zaszczytnš wzmiankę o odważnym podróżniku, który gołš rękš łapał anakondy i nie bał się wsadzić im ršk do paszczy. Tacy miałkowie kończyła się korespondencja sš prawdziwym promieniem nadziei dla ludzkoci”.

Zrozumiałem więc na własnym przykładzie, jak powstajš bohaterskie legendy. I zupełnie jak to bywa w prawdziwych legendach, uprzejma gazeta nic nie napisała o zimnym pocie przerażenia, który rżesicie, a bezpiecznie spływał przy tym wyczynie po ciele prawdziwego promienia nadziei dla ludzkoci”.

Prawo puszczy

Prymitywne a surowe prawo puszczy wymagało, ażeby silniejszy pożerał słabszego: ażeby papugę pożarł młody ostronos, młodego ostronosa jastrzšb, a jastrzėbia hirara. W moim zwierzyncu obaliłem to przyrodzone prawo i doprowadziłem do tego, że zwierzėta żyły między sobš w najlepszej zgodzie. Co prawda wcišż jeszcze ostronos rzucał tęskne spojrzenia ku tukanom, a jastrzšb niespokojnie się wiercił, gdy zbyt blisko podchodziły do niego papugi, lecz krew nie lała się w moim zwierzyncu. Wszystkie zwierzėta poddały się nowemu porzšdkowi powszechnej zgody i stało się niezłomnym prawem, że wolno im było brać żer tylko z ludzkich ršk.

Hirara, jakkolwiek z natury najdziksza, najprędzej to zrozumiała, bo był to inteligentny i bardzo oswojony stwór. Trudniej ułożył się jastrzšb, goršcokrwisty młodzian, głupi i niezupełnie jeszcze wyronięty. Ale i on wiedział, że moje papugi i tukany to nietykalna więtoć.

Sielankę i karnoć mego zwierzėcego społeczeństwa zniweczyły dopiero buty, w których pojawił się pewnego dnia Miguel Astete. Był to leny Metys, który czterdzieci pięć lat przeżył boso i teraz nagle zachciało mu się paradować w butach. Nie umiał w nich chodzić stary bałwan. Nadepnšł na mojego ptaka arasari i złamał mu nogę.

Arasari, mniejszy kuzyn tukana, miał też potężny dziób jak tukan i to samo usposobienie. Figlarny trzpiot i wszę-

dobyłski wesołek o jaskrawo kolorowym upierzeniu cieszył się ogólnš sympatiš, a ze szlachetnym trompetero żył w serdecznej przyjani. Pod opiekš tego dostojnego ptaka z rodziny brodców arasari czuł się jak u pana Boga za piecem i mógł bezkarnie oddawać się niewinnym swawolom. Aż oto zwałiło się na niego nieszczęcie w postaci buta. Nikt z ludzi, z wyjątkiem chyba winowajcy Miguela, tego wypadku z poczšku nie zauważył, zauważyły natomiast moje zwierzęta i jak gdyby лихо w nie wlało. Wszystkie na raz chciały się rzucić na kalekę, by go rozszarpać i zadziobać. Wszczęły wielki harmider i to zwróciło naszš uwagę. Patrz! krzyknęła Dolores. Co zrobił ten stary łotr Miguel? Zdeptał nam ptaka!...

Biedny arasari, który miał obcięte skrzydła, nie mógł powstać i tylko żalonię podnosił łeb do góry. Dolores chciała doskoczyć, lecz powstrzymałem jš, zdziwiony wojowniczym nastrojem, jaki niespodziewanie ogarnšł zwierzęta. Wszystkie zapalały nagłš nienawiciš do nieszczęsnego ptaka. Nawet dumne ary straciły swš zwykłš powagę i zaczęły zdenerwowane wrzeszczeć wniebogłosy. Moja żmudna nauka szła w las.

Zwabiony wrzawš, nadbiegł trompetero z pobliskich krzewów. Gdy ujrzal swego przyjaciela rozcišnętego w niemocy na ziemi, przystanšł jak wryty. Potem zaczął podchodzić krokiem powolnym i sprężonym, jakby skradajšc się do wroga. Tuż nad arasarim zatrzymał się i wlepił w niego ostre, złowrózbnę spojrzenie. Długo tak patrzył i co ważył jak srogi sędzia. Wiadomo, trompetero lubił

mięso.

Był to niezwykle ptak. Przyjazny wobec ludzi, trompetero nie uznawał zwierzęcej zgrai i zachowywał się, jak gdyby wcale nie istniała. Odważny, bitny i silny, o wynio-

siym zacnowanm, uuiuuu i mcp^.-^ budził “Ogólny szacunek. Miał w życiu własne drogi i przeNvważnie sam włó_ czyi się w pobliskich gśszczach na polowa niu Wieczorami wlatywał na dach, gdyż chętnie sypiał r^a szczytach i w ogóle lubił szerokie horyzonty. Miał tylko c^wóch przyjaciół? którym był szczerze oddany: ptaka arasari { pewnego cnłop. czyka indiańskiego.

Gdy więc trompetero mierzył złowrogiir^ wejrzeniem ka. lekę, arasari wiedział, co to znaczyło. Sk\j.c j g-koiali-wie, głowę ukrył pod skrzydłem i tak zdaVał gię czeka<e na miertelny cios. Lecz trompetero nie ud^r j Zwyciężyło w nim uczucie przyjani. Darował po kró^wgku życie { od_ szedł. Arasari podniósł głowę i powrócił ^o Zytia>

Przy pomocy Dolores nałożyłem mu bandaz na nogę i dla bezpieczeństwa zamknłem do klat^- Lecz w Uatce nie chciał przebywać, przyzwyczajony d^ gwODOdy, i rzucał się niespokojnie. Więc Dolores wyp^ciła go j posta. nowiła czuwać nad nim, by mu się nic złego nie gtało A czu_ wać trzeba było. Zwierzęta wciśz zacho\Wywajy gię wrogo Trzymałem w obszernej klatce przeszło trzydzieci maleńkich papużek, zwanych piwiczi, i często obserwowałem, że gdy która z nich zachorowała, inne ^atychmiast odnosiły się do niej nieprzyjanie. PoszturchiVały ^ dziobały, nie dopuszczały do żeru i po prostu odłhawiały jej praw^% do życia. Papużka przeważnie ulegała woji ogólu { po ku> ku dniach zdychała. Nie tylko wród pUpug5 iecz w Całej tutejszej przyrodzie zauważyć można byjQ? ^gj lub ^cej wyranie, wrogoć zdrowych jedn^gtek do chOrych. Taki to nieprzyjazny nastrój opanowHł teraz mój ^^ rzyniec. Podniecona czereda, jakkolwie^ poprzednio nau. czona szacunku dla życia współtowali:ygzy? nie cnciałś uznać chorego arasari. Było to ponad j<> giły chorego na.

leżało zabić. Dolores musiała ciŝgle pilnować i miała z tym krzyŝ i mękę. Dobra dziewczyna pocztywała sobie za rzecz honoru uratowanie sieroty. Walczyła o niego zapamiętale, lecz przeciw niej stanęła wielka potęga: głąboko zakorzeniony instynkt puszczy.

Biedny arasari! Przedtem bawił całe towarzystwo, był wesołym urwisem i napełniał radociŝ każdy kŝt dziedzińca, a teraz otaczała go zewszŝd bezlitosna nienawić. Gdziekolwiek się pokazywał, tam dybała na niego wroga hałastra.

Była czapla, która zjadała co dzień imponujŝce iloci ryb. Teraz nagle zapragnęła ptasiego mięsa. Nieruchomo czatowała za krzakiem, do którego była uwiŝzana, i pilnie przyglŝdała się temu, co robił arasari. Kulas kiedy podszedł zbyt blisko. Znienacka jak z procy wystrzelił spomiędzy gałęzi zawzięty czapli dziób. Na szczęcie nie dosięgnŝ! celu, zaledwie dotknŝ piersi ofiary. Arasari potoczył się i legł oszołomiony. Potem drŝc z przerażenia i patrzŝc w czaplę jak zaczarowany, wycofywał się tyłem z jej sŝsiedztwa.

Nieopatrznie dostał się w zasięę hirary. Drapieŝnik przyczał się, nagle wyskoczył. Lecz był zbyt chciwy i zrobił to za wczenie. To uratowało ptaka. Hirara złapała go tylko za ogon i wyrwała mu go. Nie zdobyła tym wietnych laurów. Więć wciekle powisty zawiedzionej hirary posypały się za ptakiem jak puste przekleństwa.

Do cna ogłąpiały arasari juŝ wcale nie wiedział, dokŝd uciekać, i sam wpadł między nogi jastrzębia. Gdy ostrza szponów wbiły się bolenie w jego ciało, arasari zrozumiał, ŝe to jego koniec, i wydał z siebie rozpaczliwy, przeciŝgły bek.

Zerwałem się na pomoc. Dolores w tym czasie nie było w domu. Lecz za nim dobiegłem, kto inny mnie wyprzedził.

Trompetero. Skoczył na grzbiet jastrzębia i zaczął dziobem obrabiać jego łeb i bić go skrzydłami. Zrobiła się głona chryja. Jastrzsb nie tylko że pucił zdobycz, lecz sam pobity, sromotnie podał tył. Na placu pozostał zwycięski trompetero i arasari, przestraszony, lecz żywy i cały.

Minęło kilka dni. Arasari szczęśliwie unikał zwierzst i jako żył. Dolores czuwała, a razem z niš czuwał trompetero. Dziewczyna coraz lepiej trzymała w ryzach całš bandę, narzucajśc jej znowu wolę i prawo człowieka. Słabł apetyt na mięso kulawego ptaka. Lecz nie ulegało wstpliwoci, że główna część zasługi przypadała na trompetera. Jeszcze kilka dni, a należało się spodziewać, że arasari wróci do zdrowia i wtedy ustanš przeladowania.

Pewnego razu bardzo nas ucieszyło, że arasari skoczył na grzbiet wielkiego żółwia lenego, motela. Był to dowód, że odzyskał animusz. Dawniej przed wypadkiem ptak często wysiadywał na wypukłej skorupie i widocznie przyjemność mu sprawiało, że mógł razem z żółwiem odbywać powolne przejażdżki. Potulny gad nie bronił się przeciw temu, gdyż był to olbrzym półmetrowy i ptak mu wcale nie ciżzył. Więc gdy teraz arasari dosiadł grzbietu ulubionego wierzchowca, wiedzielimy, że wróciła ptakowi chęć do życia. Dolores promieniała.

Tym dotkliwiej dziewczyna odczuła cios, który spadł jak grom z jasnego nieba. Następnego dnia rano arasari znikł. Znalelimy go w ciemnym kšcie, martwego i rozplatanego. Przy nim żółwia. Żółw zeżarł go już do połowy i włanie zmiatał smacznie jelita. Z ptaka pozostała jeszcze tylko nietknięta głowa z olbrzymim dziobem, który za życia tak bardzo wszystkich pobudzał do miechu.

Więc arasari jednak zginšł. Mniejsza o to, że zginšł przez ironię losu: nie w paszczy którego z wyranych dra-

pieźników jastrzębia, czapli, hirary czy ostronosa, lecz jako ofiara żółwia, niewinnego rzekomo stworu. Ważniejsze, że ostatecznie jednak zatriumfowało prawo puszczy, nieubłagane i mciwe, i skruszyło tamy, jakie chciała mu nałożyć wola człowieka. Dziwne prawo puszczy, domagajšce się mierci chorych istot. Człowiek przegrał, puszcza zwyciężyła, chory arasari został pożarty.

mierć pupilka wstrzšsnęła Dolores. Ze wzruszenia zsiniała jej twarzyczka. Dziewczyna całkiem oniemiała, a potem wydała surowy, lecz sprawiedliwy wyrok.

Wiesz! powiedziała do mnie z głębokim przekonaniem. Ten żółw to wielka winia!...

Pod koniec roku 1945, podczas kampanii, mającej na celu przyjcie z pomocš głodujšcym dzieciom na kontynencie europejskim, zniszczonym wojnš, wywieszano w Wielkiej Brytanii plakaty ze wzruszajšcym rysunkiem. Rysunek przedstawiał procesję europejskich dzieci, przechodzšcych pod ukrzyżowanym Chrystusem, który jednš uwolnionš rękę schylał ku dzieciom, podajšc im dłoń do pocałunku. Na krzyżu widniał napis: Ku pamięci dzieci w Europie, które będnš musiały zginšc tej Gwiazdki z zimna i głodu”.

Koncepcja Chrystusa z dziećmi była niezła, cel najszlachetniejszy, ale w tym plakacie rzucała się w oczy ražšca nedorzecznoć, odbierajšca mu właciwie cały sens: owe głodne dzieci Europy, którym zagrażała mierć głodowa, były to pulchniutkie, pucułowate, wietnie odkarmione bobasy. Któż naiwny uwierzyłby, że takie zdrowe brzdšce zginš tej zimy z głodu?

Gdy na ten lapsus artysty zwróciłem uwagę pewnego Anglika, ten zasadniczo przyznał mi rację, lecz mimo to uznał plakat za właciwy i za skuteczny.

\i

Brak mu przecież logiki sprzeciwiłem się a poza tym mija się obskurnie z prawdą.

Well, to nic nie szkodzi! Tu przede wszystkim chodzi o cel.

Cel?

Tak. O to, by społeczeństwo brytyjskie wzruszyć i pobudzić do dobroczynności, by otworzyć jego serca i kieszenie dla dzieci kontynentu. To za osiągnięć można najłatwiej, pokazując przyjemne, pyzate buzie, a nie wynędzniałe kocielce... Widok nędzy mógłby wywołać skutek wręcz przeciwny zamierzonemu: wywołać odrazę!

Tak to w społeczeństwie, które uchodzi za oddane kultowi miłosierdzia jak bodaj żadne inne społeczeństwo, nagle przypomniał mi się arasari i cały ów kompleks okrutnego prawa puszczy, nie znoszącego chorych i słabych w społeczności zdrowych i silnych.

Orchidea i kolibry

W bardzo młodym wieku, kiedy budzące się serce pragnęło pokochać i zdobyć dla siebie cały wiat, wpadła mi do ręki niewielka księżka i urzekła mnie. Była to Maeterlincka Inteligencja kwiatów”. Głęboka wiedza oraz mądrość i poetyckość księżki stały się wtedy dla mnie objawieniem. Jeli w późniejszych latach wędrówek dostrzegałem w przyrodzie wiele piękna i ciche, konsekwentne, mądre rozumowanie kwiatów”, w znacznej mierze zawdzięczałem to księżce belgijskiego maga.

Którego dnia w Cumarii niedaleko naszej chaty zboczyłem w głąb puszczy, gdyż o kilkanacie kroków od cieżki ujrzałem jak gdyby maleńką polanę. Widniała tam smuga jaskrawej jasności, odcinająca się od reszty lenego cienia. Po przedarciu się stwierdziłem, że to nie polanka, lecz wyrwa w gęstwinie, spowodowana niedawnym upadkiem na ziemię jednego ze starych drzew. “W opróżnionym miejscu powstał rodzaj głębokiej studni, dzięki której wiatło z góry dochodziło do samej ziemi i stąd pozorne wrażenie polanki.

Owa studnia, mierząca zaledwie cztery, pięć metrów rednicy, nie była szeroka, za to wywołała istną rewolucję: górne okienko wiatła wstrząsnęło nerwami wszystkich rolin na dole i oto cała zielona gromada zaczęła podnosić głowy jeli tak rzecz można i wyciągać szyje, by lićmi spojrzeć na niebo i opijać się jego jasnością. Jakże

9 Zwierzęta z lasu dziewiczego

ów zgłodniały tłum leny pożądał wiatła, skoro wśki stosunkowo otwór tak wielkie wnosił podniecenie!

Między innymi odkryłem tam okazałś rodzinę orchidei. Był to krzepki gatunek z rodziny Odontoglossum, który usadowił się na konarze drzewa figowego o jakie trzy metry ponad ziemiś. Soczyste, bulwiaste liście wiadczyły o jędrnym zdrowiu roliny. Wyrastały z niej trzy kwiaty, jeszcze nie całkiem rozwinięte, rzekłby, trzy nadobne córki w wieku storczykowych podlotków, już zapowiadających się bujną urodź: płomienny fiolet łączył się zuchwale z pomarańczowo-żółtymi kreskami fioletu. Jeden kwiat sterczał niżej niż jego dwie siostrzyce i był jak gdyby bliższy pełnemu rozkwitnięciu. Lecz niezależnie od stopnia dojrzałości już teraz wszystkie trzy kwiaty gorliwie zadzierały swe główki w górę ku niebu, podległe tej samej żśdzy wiatła, jaka przenikała całe otoczenie.

Chętnie zdjśłbym piękń orchideę, by hodować jś dalej w chacie, ale rosła zbyt wysoko i trudno było się wspinać.

Gdy kilka dni póniej wracałem tędy z polowania, przypomniałem sobie miejsce i zajrzałem do wyrwy. Dolny kwiat rozkwitł już całkowicie, a siostry nad nim doganiały go. Zazwyczaj dojrzałe storczyki mają kwiaty zwrócone nie w górę ani w dół, lecz w bok, skśd oczekujś przylotu zapylających je owadów. Natomiast tym razem wszystkie trzy kwiaty trwały wciśz w niezwykłym położeniu: wargi kwiatowe kierowały w górę. Rozkosz, płynśca z nieba, okazała się widocznie mocniejszym powabem niż siły rozrodcze. Zresztś nie było wykluczone, że i z góry mogły przylatywać owady.

W owym czasie nawiedziła to miejsce nowa katastrofa: runęło drugie drzewo. W murze zieleni, otaczającym storczyki, powstała druga wyrwa, wszakże nie zwrócona w górę

jak pierwsza, lecz ukonie, w bok, niemal w kierunku po- Ś ziomym. Rozjaniło siL teraz nieco i z tej strony, ale że E to było wiatło boczni nie przychodzące wprost z nieba, jeno odbijane od innych przedmiotów daleko mu było do wietnoci górnego ródła, tego z pionowej wyrwy. Toteż roliny ani nie drgnęły, wszystkie jak oczarowane zapatrzone były w góŹ. wierne jedynie skrawkowi nieba. Czy do kwiatów w studni” przylatywały owady z góry? Tego nie widziałem. Zł to w niższych piętrach gšszczu licznie uwijały się kolibry. One chętnie korzystały z tego drugiego w zarolach tunelu, przylatując z boku. Odwiedzały jeno dolny kwiat storczyka, bo dwa górne, ukryte zbytnio w liciach, były dostępne tylko od góry. Ale i z tym kwiatem rzutki ptastki miały nie lada trudności.

Kolibry, jak wiadomo, przeważnie żywiły się chrzšszczykami, które znajdowały w głębi kwiatów. Zupełnie tak samo jak motyle zmroczniki, Sphingidae, błyszczące, liczne ptaszki zawisały w powietrzu, błyskawicznie uderzając skrzydłami i zanurzając w kwiatach swe długie dzioby. Języczkiem wygarniały owady i nektar. Niby skrzydlate klejnoty migały od kwiatu do Kwiatu, przy czym - wiadomo - spełniały rolę pośredników zapylania między pręcikiem

a słupkiem.

Gdy to widziałem, przypomniał mi się Jan Sztolcman, nasz wybitny i uroczy przyrodnik, przebywający w górach i lasach Peru przez długie lata w drugiej połowie XIX wieku. Otóż doszedł on wtedy do przekonania, że kolibry nie odwiedzały wcale storczyków A oto na mojej wyrwie lenej w pobliżu Cumarii działa & inaczej: jaki przedsiębiorczy gatunek koliberków nie stronił od orchidei - Odontoglossum 0, urzekająca różnorodności przejawów życia w tej goršcej przyrodzie południowoamerykańskiej!

Tymczasem z powabnym storczykiem jakaż wyłoniła się bieda! Czciiciel nieba wciśz zadzierał swe kwiaty do góry, więc kolibry, chcąc się dostać do niego z góry, musiały zanurzać dziobki w położeniu dla nich zgoła wariackim i uciśżliwym. W końcu, po daremnych próbach, zadziorne ptaszki zbuntowały się. Chociaż *Odontoglossum* miało okrutnie kuszące barwy, dały mu kosza. Nadal licznie przylatywały bocznym tunelem, lecz nie do storczyka; szukały innych kwiatów.

Wtedy nastąpiła rzecz wprawiająca mnie w zdumienie. Cały Maeterlinck stanął mi żywo w pamięci. Storczyk nie chciał pozostać nie zapyłony i ruszył rozumem. Zdobywając się na największą roślinną ofiarę, bohatersko wyrzekł się wiatła i zaczął schylać swój kwiat. Wyglądało to, jak gdyby schodził z poetyckich wyżyn i uprzytomnił sobie obowiązki wobec potomności. Więc kwiat schylał się przez dwa dni, aż wargę ustawił wprost naprzeciw tunelu. Wymowny gest gościnności kolibry należycie oceniły. Przylatywały i ochoczo, teraz już bez przeszkód, zatapiały w orchidei swe dziobki.

A może był to tylko przypadkowy zbieg okoliczności? Może wiotczej sypułka kwiatu straciła dotychczasową prężność i dlatego przegięła się?

W tych dniach w gmatwaniu gęszczy znowu nastąpiła doniosła zmiana. Jakie złamane konary się obsunęły, masy zbitej zieleni stoczyły się z miejsca na miejsce. I oto zatkały boczny tunel, natomiast nowy wyłoniły otwór o kilkanacie kroków z boku i nieco wyżej. Teraz stamtąd przylatywały kolibry.

Jak na to zareagował czuły storczyk? Nieustannie ożywiony wrażliwym uczuciem dla skrzydlatych przyjaciół, robił wszystko, by ułatwić im dostęp do siebie, podobny

do kochającej matki, podsuwającej pier swemu dziecku. Więc kwiat zaczął powoli się wznosić, a przy tym przechylać się w bok, i to akurat w tę stronę, skąd przybywały kolibry. Patrzyłem na ten niebyswały wysiłek ze zdumieniem, wstrząśnięty do głębi. Teraz zachowania się storczyka nie można było tłumaczyć sobie przypadkowociś. Był to odruch celowy. I skuteczny: kolibry dobrze go rozumiały.

A równocześnie dwie drugie orchidee, owe górne, już dojrzałe na dobre, napojone, widać, rozkosz nieba do syta, ‘znużyły się swś wyniosłościś: jak gdyby wydłużajśc swe szypułki, jeły schylać kwiaty i o dziwo! schylały się w tę samś stronę, co ich dolny brat. Wspaniałe w swej krasie storczykowej, urzekająco fioletowe, rade gociom koli-brzym, wiadomie zapraszały ich do siebie.

Gdy pełen dziwnych wzruszeń wracałem z tych wycieczek do chaty, cisnęły mi się do głowy dawne wspomnienia z młodzieńczych lat, kiedy tak żarliwie wchłaniałem ksiżkę Maeterlincka. Maeterlinck pisał o kwiatkach: Idee piękna, radoci życia, rodki czarowania oraz upodobania estetyczne kwiatów zbliżone sś bardzo do naszych ludzkich.”

Dwie hirary

Gdy byłem mały, ojciec uczył mnie kochać nie tylko motyle i inne zwierzęce stwory. Twierdził, że stateczni bankierzy, dyrektorzy i w ogóle ludzie wielkich afer nie zawsze mieli rację. Natomiast potrzebniejsi byli ludzie szaleni i nie-poskromieni. Oni mieli częściej rację. Szaleńców trzeba było kochać. Tylko wielcy szaleńcy stawali się bohaterami, wybijali nowe drogi dla ludzkoci, tworzyli janiejsze wiaty i zwyciężali. Szaleńcy nie tracili odwagi i budowali na gruzach wtedy, gdy rozumnych ogarniało zwśtpienie. Prawił ojciec, że trzeba kochać szaleństwo, gorścś fantazję, zuchwały animusz i wszystkich płomiennych zatraceńców.

Takie pamiętne a powabne herezje wchłaniałem za młodu nad Wartś. Pewnie dlatego nad Ucayali którego dnia podbiłem strzelbę mojemu preparatorowi, Metysowi Pedro, gdy chciał strzelić, i darowałem życie uciekającej hirarze,

szalonej bestii.

Jednś hirarę miałem już od samego poczśtku pobytu mego w Cumarii. Nauka nazywała jś Tayra barbara. Przyniósł mi jś stary Indianin Kampa znad rzeki Binui i oznajmił, że wychował jś od dzieciństwa. Była niezmiernie miła i obłaskawiona. Chętnie bawiła się z ludmi i zachowywała się jak rozkoszny szczeniak, chociaż była już wyronięta i prawie tak duża jak wydra. Łagodność jej i potulność zdumiewały tym bardziej, że hirara przecież należała do rodziny słyńskej z dzikoci i krwiożerczoci, do kunowatych.

Miała piękne futerko koloru ciemnobrżzowego, głowę za

znacznie ciemniejsz, prawie że czarnš. Pod gardłem zdołała hirarę jaskrawa plama pomarańczowa. Wspaniale prężyło się jej długie, wysmukłe ciało, wiadomo ciało kuny. Przyjemnościš było patrzeć na jej zgrabne ruchy. Przebywała stale pod gołym niebem, uwišzana na łańcuchu jak pies podwórzowy. Wszyscy jš kochali, a najwięcej kucharka Mulatka, która Avcišz> przynosiła jej smakołyki.

Raz tylko, raz jedyny hirara popełniła ciężki grzech. Poniósł jš na chwilę dziki instynkt drapieżnika i nieszczęśliwym zbiegiem okolicznoci dotkliwa krzywda stała się włanie najwierniejszej przyjaciółce hirary, naszej kucharce. Której nocy hirara zerwała się z łańcucha i wlała do kurnika. Gdy rano kucharka zajrzała do kur, ledwie trupem nie padła z przerażenia. Wszystkie kury a było ich piętnacie, własność prywatna dobrej niewiasty i jej duma leżały martwe pokotem, z przeżartymi gardłami i z wysšanš krwiš. A między nimi jak sułtan w haremie leżała hirara i spała kamiennym snem.

Wtedy przekonałem się, że krwiš można się upić. Hirara była kompletnie pijana i zbudzona kołysała się na bezwładnych nogach. Oburzona kucharka chciała jš zakatrupić na miejscu. W zawiłych targach ułagodziłem jej zapalczywoć tudzież rozpacz i wykupiłem życie małej zbrodniarki. Gdy hirara po kilku godzinach wytrzewiała, miała minę najniewinniejsz na wiecie. Wypiła sporš miskę wody i potem chciała się koniecznie bawić. Wszystkich znajomych darzyła znów wylanš, serdecznš przyjaniš, a pod wieczór rozbroiła nawet gniew kucharki. Wielki dar podbijania serc miała szelma. I słusznie: było to najłagodniejsze, rozkoszne, rozumne stworzenie.

W tym czasie przywieziono mi z dołu rzeki drugš hirarę, włanie co dopiero pojmanš w lesie. Podczas chwyta-

nia podobno broniła się zaciekle i zanim zdołano ją obez- ” ” władnic i skępować, pokssała dotkliwie dwóch ludzi, a psu wyzarła część pyska. Gdy ją przywieziono, była powieszana takś plstanińš sznurów i lian, że wyglśdała jak w bandażach. Ostrzegali mnie ludzie, że jest muy brava bardzo dzika.

Z zachowaniem wszelkich rodków ostrożności wpakowaliśmy ją do wielkiej skrzyni cedrowej, tej samej, w której przedtem trzymaliśmy węza anakondę. Skoro tylko rozluniliśmy jej więzy, hirara natychmiast zerwała się i zaczęła gryć dokoła jak wciekła. Zaczęło się jej wielkie zmaganie i wielkie, opętane szaleństwo.

Beznadziejne szaleństwo! Siły były zbyt nierówne. Dzikie zwierzęta, zamknięte w klatce, zawsze w końcu się poddawały. Najpierw zaciekle się miały i tłukły, aż poka leczone i rozbite, opadały z sił. Potem przychodziła harda głódówka i łamała ostatni opór. A po kilku dniach można już było każdego zwierzaka pogłaskać rękš.

Jakże inna była hirara! Ani na chwilę nie ustawała w wysiłkach, by się uwolnić. Wciekłość swš wywierała na grubych, drewnianych szczeblach i rozgryzała je tak szybko, że tylko leciały drzazgi. Rzecz dziwna, że deski, które przedtem wytrzymały napór cielska potężnego węza, teraz kruszyły się i rozpadały w mig. Na straży przy klatce musiałem postawić Metysa Pedro, ażeby kłódš spychał hirarę do rodka. Inaczej byłoby le: w cišgu kilku minut mogłaby wygryć sobie dziurę i uciec. Pedro sumiennie żgał kłódš i spychał hirarę. Lecz po kwadransie przybiegł do mnie zdyszany i pokazał, co mu pozostało w rękach: z kłody pozostał kikut. Resztę rozszarpały ostre zajady zwierza, mimo że to było drewno twarde jak żelazo. To szatan! charczał. To szatan! To szatan!

Pedro porwał nowy kij i zaczął nim strącać hirarę. Budziło się w Metysie pierwotne okrucieństwo. Walka stawała się uporczywym absurdem. Ufałem i liczyłem na to, że zwierz lada chwila wyczerpie swe siły i przestanie się szamotać. W całym domu rozlegały się odgłosy obopólnej zacieklności: twarde, miarowe jak w zegarku uderzenia kija o kraty i głuche, rozjuszony powisty hirary cyk, cyk, cyk, powisty, brzmiące czasem jak jęk. Ale tej walce nie było końca. Im dłużej Pedro stawiał opór, tym obłądziej atakowała hirara. Szarpało mi to nerwy i nie mogłem pracować.

Przestań! krzyknąłem do Metysa.

Pot lał mu się z twarzy, dolna szczęka trzęsła się jak w febrze. Z ręki sńczyła mu się krew.

Postanowiliśmy ogłuszyć hirarę wodą i oblaliśmy ją kilkoma wiadrami. Daremnie. Potem chcieliśmy umierzyć ją smakołykami. Najpierw rzuciliśmy jej dwa zabite ptaki, następnie wylaliśmy pół butelki syropu. Wszystko daremnie. Ptaki poszarpała i częściowo zżarła. Syrop w nerwowym popiechu wyśląpała, ale potem ze zdwojonym gwałtownością rzuciła się na nowo do rozgryzania krat.

Pilnuj jej! ryknąłem do Metysa.

Byłem zły. Drażnił mnie coraz bardziej beznadziejny upór hirary, beznadziejny, gdyż wiedziałem, że prędzej czy później się złamie. Musiał się przecież skończyć jej klęska, innego wyjścia nie było. W chacie zapanował podniecony nastrój, prawie jak w domu wariatów. Wzmagało się we mnie uczucie przykroci i upokorzenia. A równocześnie gdzieś na dnie duszy rodził się podziw dla zawziętej wytrwałości i takiego bohaterstwa. Była to niezwykła hirara.

W godzinę później nastąpiło niespodziewane zdarzenie. Przywłókł się do mnie Pedro i legł ledwie żywy na krzele.

Żał mi było Metysa, lecz równocześnie nie mogłem oprzeć się na przewrotnemu uczuciu zadowolenia, że walka taki obrót.

Nie mogę już wykrztusił chrapliwym głosem

Dobrze. Pozostaw ją w spokoju.

Pierwszy raz podczas naszej współpracy odmówił rai "szeństwa.

Pedro wytrzeszczył oczy; nie zrozumiał mnie dokąd

Co, senor?

Pozostaw hirarę w spokoju.

W spokoju? powtórzył. Niemożliwe! Uciekaj

Niech ucieknie.

Nie, nie, nie! wybuchnął i zerwał się jak opierzyno. Wybiegł z chaty, wołając na pomoc dwóch innych

sów, którzy pracowali u mnie. Spostrzegłem ze zdziwieniem,

że w oczach jego tliła się jak gdyby gorączka. Widocznie obłąd hirary udzielił się i jemu.

Trzech Metysów zabrało się ze wściekłym animuszem do poskrabiania hirary. A hirara wciśnięta szalała. Trudno zrozumieć, skąd czerpała tyle sił fizycznych. Ani na

nie ustawała w walce. Graniczyło to prawie z cudem. Szczęble klatki, nadwerężone, trzeba było co chwila

wnosić nowymi deskami. Potem wzięliśmy blachę. Ale i blacha nie ostawała się. Ostre ukłuszenia dawały ją; Ja Pa' pier. Z błyszczących lepi wyzierał bezmiar nierówności. Zawziętość zwierza była wzniosła, lecz upiorna. szalał obłąkanego, przejmował zabobonny lęk.

I pomyśleć, że o kilka kroków miałem tak samo? może nawet z tego samego pomiotu, która była wciśnięta łagodności i której można było wkładać rękę do wierzchołka

rozbawionego pyska.

Pod wieczór, po kilku godzinach, zrobił się wielki

przy klatce. Przybiegł do mnie przerażony Pedro i wrzasnął, że hirara się wyrwała. Złapał strzelbę i wyskoczył na dwór. Ja za nim.

Rzecz niepojęta i niemożliwa, a jednak stała się. Hirara wyrwała się spod przemocy szeciu ręk ludzkich, uzbrojonych w kłody. Nie powstrzymały jej razy. W końcu zwyciężył jej obłądny, straszliwy upór wbrew wszelkim nadziejom i rozumom. Było to przecież szaleństwo, a jednak okazało się jedyną, niezawodną drogą do wolności.

Oto hirara uciekała w wielkich podskokach. Miała krzywy, obolały grzbiet, bo go ludzie przetrścili kijami. Była inwalidką. Ale waliła jak diabeł w stronę niedalekiej puszczy. Ostatni wysiłek jej szaleństwa opętany bieg ku wolności przejmował wzruszeniem. Nakazywał najgłębszą cześć. Była to dzielna bojowniczką.

Pedro podniósł strzelbę i wymierzył. Hirara była jeszcze w zasięgu strzału. Podbiłem mu broń. Nie, nie zabijaj hirary! Niech ucieka!

Kiedy, kiedy, bardzo dawno temu, mówił mi ojciec, że trzeba szanować szaleństwo, że trzeba kochać szaleńców. Niech hirara ucieka! Niech sobie żyje!

WYDANIA ZWIERZŁT Z LASU DZIEWICZEGO

w języku polskim

w języku słowackim w języku niemieckim

I wydanie II wydanie

III wydanie

IV wydanie V wydanie

VI wydanie

VII wydanie

VIII wydanie

IX wydanie

X wydanie

XI wydanie

XII wydanie

I wydanie

I wydanie

II wydanie

Warszawa

Warszawa

Warszawa

Warszawa

Glasgow

Glasgow

Warszawa

Warszawa

Warszawa

Warszawa

Poznań

Poznań

Bratislava

Lipsk

Lipsk

1936 1938 1938 1939 1944 1946 1946 1949 1957 1959 1969 1972 1949 1953 1954

1

Spis treści

Częć pierwsza

MOI BRAZYLIJSCY PRZYJACIELE

Odkrywamy duszę zwierzęcš 6

Ostronosy..... 12

Pancernik..... 18

Kora..... 28

Mrówkojad..... 36

Jaszczur..... 44

Biszo de pe 51

Makakinio..... 56

Gdzie ryby wędrowały po ziemi ... 65

Miku..... 74

Częć druga

W PUSZCZY AMAZOŃSKIEJ

Spowied..... 82

Leniwiec..... 86

Przyjań tapirka..... 94

Przylatujš flamingi..... 106

Anakonda..... 113

Prawo puszczy..... 121

Orchidea i kolibry..... 129

Dwie birary..... 135

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy Nasza Księgarnia”

Warszawa 1976 r. Wydanie XIII (NK III)

Nakład 20 000 + 277 egzemplarzy

Ark. wyd. 6,8. Ark. druk. A1 9,0. +4 wkładki

Papier off. mat. kl. III, 71 g, 61x86/16.

Oddano do składania w styczniu 1976 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1976 r.

Druk ukończono w październiku 1976 r.

Poznańskie Zakłady Graficzne

im. M. Kasprzaka. Poznań

Zam. nr 315/76

Ś”\